

ISSN 1427-6720

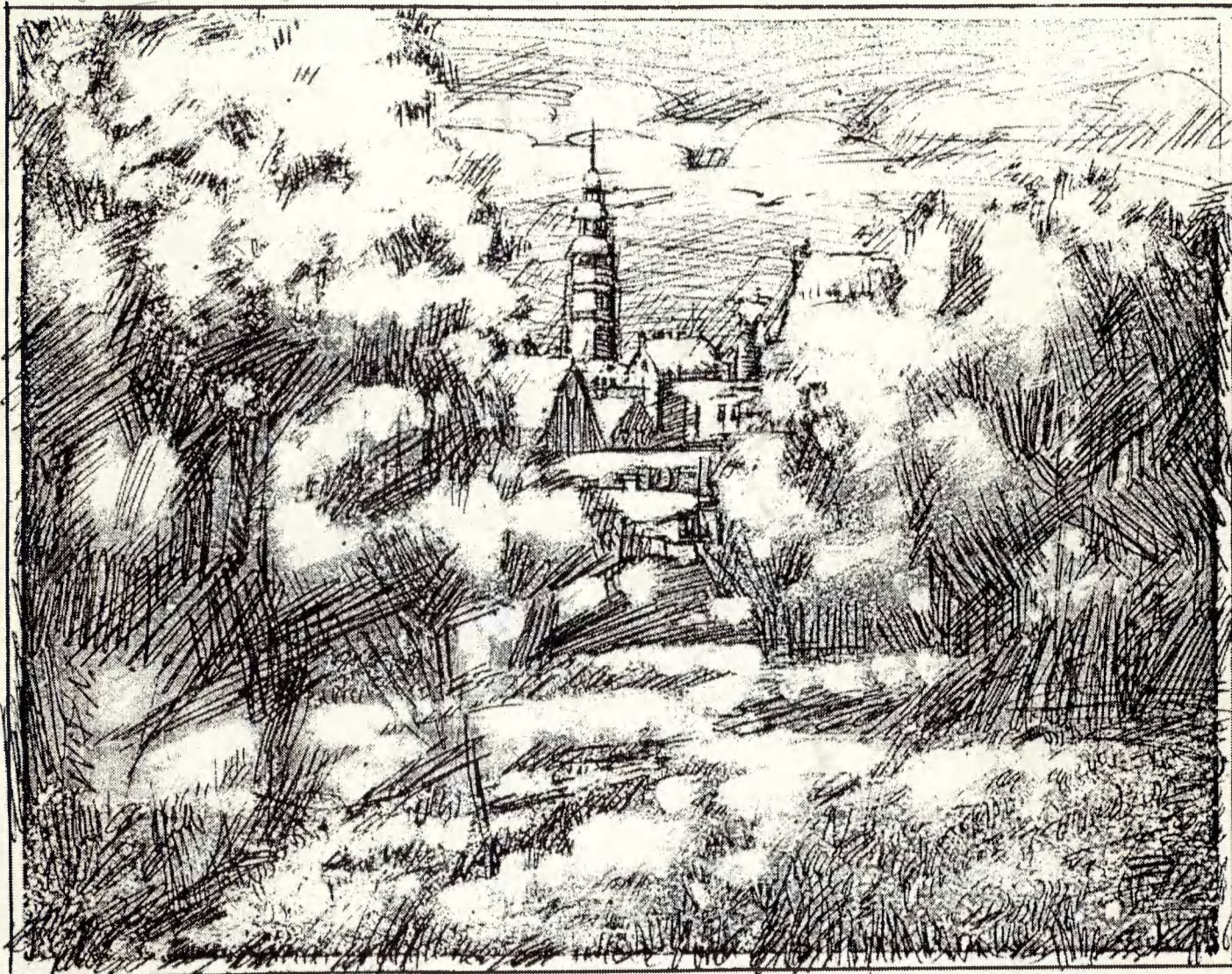
Pionierzy

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

NR 1(11) 2000 ROK V
ZIELONA GÓRA
Cena 2 zł

899 III / 2000

2000
1-3



- * *Moja młodość na obczyźnie*
- * *Zielonogórski hufiec harcerzy*
- * *Opowiadanie o pogodzie*
- * *Wieża ciśnień i wodociągi*
- * *Pionier zielonogórskiego księgarstwa*

Przechadzka ulicą Dworcową

*Stąpasz mała po ruinach złudzeń
dźwigasz ciężkie grudy stóp
monotonne karczowiska myśli*

*Czyja ręka
skroń zgorzala wiatrem
noc jak lustro i księżyc na ścianie*

*Jutro znowu będzie świecić słońce
w pełne oczy sklepów
i pójdziemy dworcową aleją
na twój przysmak jagody w śmietanie*

Zenon Czarnecki



Pionierzy WYSTĄPIENIA I WSPOMNIENIA HISTORYCZNE

Wydawca:

Sekcja Historyczna Stowarzyszenia
Pionierów Zielonej Góry,
ul. Stary Rynek 1,
Ratusz – Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra.

Redakcja:

Redaguje Kolegium w składzie:
Maria Gołębiowska,
Wiesław Nodzyński,
Tomasz Nodzyński,
Wojciech Strzyżewski.

Adres Redakcji:

ul. Stary Rynek 1,
Ratusz - Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne:

Heroldia P.R.

Korekta:

Grażyna Karpińska

Okładka:

Grafika:
Witold Nowicki

Druk:

Drukarnia „EURODRUK”
Zielona Góra

Materiałów nie zamawianych
redakcja nie zwraca.
W materiałach nadesłanych
redakcja zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian redakcyjnych.
Za treść reklam
redakcja nie odpowiada.

Ryszard Galuszewski, którego wspomnienia z pierwszych powojennych lat w Zielonej Górze publikowaliśmy w poprzednich numerach – wraca do „źródeł”. Tym razem pisze o latach swego dzieciństwa w Warszawie. Nie ma już tej Warszawy. Tym bardziej warto przeczytać ten tekst.

Zmarł **Kazimierz Malicki**, pionier zielonogórskiego księgarstwa. **Grzegorz Chmielewski** zdążył jeszcze opublikować w naszym piśmie dwuczęściową rozmowę z nim, w tym numerze obszerny jego biogram. **Helena Maria Wierzbicka** kontynuuje opowieść o trudnych wojennych losach, które były jej osobistym udziałem.

Zdzisława Kraśko pisze o mało znanych szczegółach udziału swego ojca doktora **Romana Mazurkiewicza** w Powstaniu Wielkopolskim.

Jadwiga Kolibabka przypomina m.in. dzieje części marynarzy Floty Pińskiej, którzy zakończyli wojnę z Niemcami w 1939 r., zaznając gorzkie klęski, w bitwie pod Kockiem. **Jan Muszyński** przypomina zielonogórski fragment życiorysu dwójki znanych tu kiedyś artystów-plastyków: **Wandy Sokołowskiej** i **Juliusza Majerskiego**.

O zgoła współczesnych dziejach zielonogórskiego hufca harcerzy, słynnych **Makusynach** i **Korczakowcach** pisze jeden z nich hm. **Marek Musielak**.

Niestrudzony orędownik ekologii dr **Leszek Jerzak** przygotował kolejny odcinek wieści ekologicznych, zaś znany zielonogórski klimatolog **Ryszard Krassowski** „podsumował” pogodę w Zielonej Górze w ubiegłym roku.

Życzymy ciekawej lektury!

Ryszard Gałuszewski

Niektóre wspomnienia z mojego życia (cz. IV)

albo
niektóre wspomnienia pioniera Ziem Odzyskanych

WARSZAWA, ul. Łucka nr 16 m. 41

DOM MOJEGO DZIECIŃSTWA

Dom przy ulicy Łuckiej nr 16 nie był miejscem mojego urodzenia, ale w nim właśnie spędziłem swoje lata dzieciństwa od 5-go do 14-go roku życia. Tu z rodziną przeżyłem ostatnie lata pokoju przed wybuchem wojny we wrześniu 1939 roku, oblężenie i bombardowanie stolicy podczas działań wojennych, terror w latach okupacji hitlerowskiej oraz gehennę powstania warszawskiego w 1944 roku.

Moim miejscem urodzenia dnia 13 maja 1930 roku był drewniany budynek przy ulicy Na Bateria, położony blisko dworca kolejowego PKP Warszawa Zachodnia. Samej przeprowadzki w 1935 roku, z ulicy Na Bateria na ulicę Łucką, nie pamiętam. Pierwszym wydarzeniem, jakie utkwiło w mojej pamięci z tego okresu, to było odprowadzenie mnie przez Matkę do Szkoły Powszechnej nr 136, mieszczącej się na ulicy Waliców przy ulicy Chłodnej, na rozpoczęcie nauki w 1937 roku.

Ulica Łucka położona była równolegle do ulicy Grzybowskiej i Prostej, a łączyła ulicę Żelazną z ulicą Towarową. Sama jezdnia ulicy miała utwardzoną nawierzchnię „kocimi łbami”, z nieodłącznymi rynsztokami ściekowymi po bokach. Cała długość ulicy zabudowana była po jej obydwu stronach czteropiętrowymi kamienicami czynszowymi oraz parterowymi drewniakami, które zamieszkiwała raczej biedota.

Posesja przy ulicy Łuckiej nr 16, składała się w zasadzie z dwóch części. Część pierwszą – od strony ulicy – stanowiły jednopiętrowe drewniane budynki mieszkalne oraz parterowe pomieszczenia, przeznaczone na stajnie dla koni. W drewniakach mieszkali przeważnie właściciele wozów przystosowanych do przewozu węgla, a w stajniach sypiali razem z końmi pomocnicy właścicieli wozów. Wozy od godzin popołudniowych do wczesnych godzin porannych „parkowały” na środku zabrukowanego „kocimi łbami” podwórka, a w stajniach toczyło się życie „towarzyskie” zakrapiane alkoholem, co stwarzało wiele zabawnych sytuacji. Część drugą – stanowiła czteropiętrowa kamienica. W kamienicy mieszkali niezamożni lokatorzy, z reguły w jednoizbowych mieszka-

niach. Mieszkał tu np. konduktor tramwajowy, inkasent gazowni, portier w browarze, drobni sprzedawcy na bazarach, itp. mieszkańcy.

Nasze mieszkanie pod nr 41 znajdowało się na trzecim piętrze, a okno jego wychodziło na mur odległy nie więcej jak 3 metry. W mieszkaniu więc zawsze było ciemno i słońce tu nigdy nie zaglądało. Całe mieszkanie przegrodzone było dyktą na część kuchenną i pokój. W części kuchennej mieściło się tylko żelazne łóżko, na którym spaliliśmy razem z bratem Zenkiem, czterofajerkowa kuchnia kaflowa, kran do wody w ścianie i zlew oraz jakaś mała szafka na naczynia kuchenne. W części pokojowej było drewniane łóżko Rodziców, otomana, na której zawsze spał ktoś z rodziny, dwudrzwiowa szafa na ubranie, oszklony kredens, maszyna do szycia, a pod okno wtłoczony został średniej wielkości rozsuwany stół zakupiony na Pocieju. Wyposażenie to zajmowało całą powierzchnię mieszkania. Było tak ciasno, że mała choinka na święta Bożego Narodzenia mogła być postawiona tylko na blacie maszyny do szycia. Woda leciała już z kranu w mieszkaniu, a elektryczność została podłączona następnego dnia po świętach Wielkiej Nocy w 1938 roku. Pamiętam, że w mieszkaniu było pełno gości śpiących rano jeszcze na podłodze, kiedy przyszli monterzy podłączyć licznik elektryczny, mieszczący się tuż za drzwiami wejściowymi. Matka z tego powodu „wyraziła swoje wielkie niezadowolenie”, a to dlatego, że światło miało być podłączone przed świętami i na okoliczność pokazania „świecącej elektryki” zaproszono trochę rodziny z okolic Sochaczewa. Ogólnodostępny ustęp z czterema kabinami, ścianą do sikania i piecykiem do podgrzewania, znajdował się na parterze tej kamienicy.

Właścicielami – gospodarzami całej posesji byli dwaj bracia, którzy dorobili się znacznego majątku w Ameryce i po powrocie do Polski kupili kilka kamienic. Byli to – jak wieść niesła – zatwardziali starzy kawalerowie. Ubierali się w jednakowe garnitury oraz nosili modne w latach 30-tych meloniki i laski. W naszej kamienicy oni nie mieszkali, lecz zajmowali tylko małe pomieszczenie na kantor. Żydom mieszkań nie wynajmowali, a z innych narodowości mieszkali w całej kamienicy tylko cztery rodziny niemieckie oraz jeden Chińczyk z war-koczykami. Nad porządkiem w całej posesji czuwał bardzo zany i groźnie wyglądający, z dużymi sumiastymi wąsami stróż – pan Trojanowski. Mieszkał on w stróżów-

ce, a przy jego oknie zawieszony był dzwonek, który po zamknięciu bramy dawał znać, że na ulicy czeka spóźniony lokator, pragnący dostać się w „rodzinne pielesze”. Muszę w tym miejscu wspomnieć, iż z dzwonka tego zdarzało się niekiedy korzystać również mojemu Ojcu. Oczywiście „fatyga” stróża w godzinach nocnych miała odpowiednią stawkę, w zależności od pory nocy. Natomiast w ciągu dnia krążył on po całym podwórku z miotłą i dużą szuflą w ręku, bowiem dużo pracy przysparzały mu konie i to co one po sobie zostawiały na bruku. Dla dzieciarni był raczej życzliwy i strachu przed nim nie odczuwaliśmy, ale odpowiedni autorytet to on posiadał! Lokatorzy naszej posesji dzielili się na „tych z drewniaków” – jako coś „gorszego” i „tych z kamienicy” – jako coś „lepszego”.

Ale mieszkańcy kamienicy też byli podzieleni na „wielkie państwo”, co zadziera nosa do góry oraz „dobrych sąsiadów”, z którymi Rodzice moi utrzymywali przyjacielskie stosunki. Do tej ostatniej grupy należała mieszkająca na parterze kuzynka mojego dobrego przyjaciela Czesia Ślaza, który zginął w pierwszych dniach powstania warszawskiego. Ta zacna starsza pani bardzo często pilnowała mnie z Zenkiem podczas nieobecności Rodziców i nigdy na nas nie skarżyła, chociaż często robić to powinna. Na 4-tym piętrze mieszkała rodzina Zawislaków, w mieszkaniu których moja Matka często przebywała. Obie kobiety zawsze coś tam szyły na maszynie, a wieczorami czytały nam różne ciekawe książki, które bardzo często dotyczyły naszych powstań narodowych. Mojego Ojca z panem Zawislakiem, w pewnym okresie, łączyły wspólne interesy. Rzecz polegała na tym, że właśnie pan ten był konduktorem na tramwajach i dysponował „bilonem” utargowanym przez cały dzień za bilety przejazdowe. Mojemu Ojcu natomiast bilon ten był bardzo potrzebny, ponieważ w okolicach Wyszogrodu, na początku okupacji, cukier można było kupić tylko za marki niemieckie, bądź nikłowy bilon polski. Następowala więc wymiana banknotów papierowych na bilon do czasu, aż Niemcy wprowadzili nową walutę papierową dla całej Generalnej Guberni.

Piętro wyżej, tuż nad nami pod nr 46, mieszkała przyjacielnica z nami rodzina państwa Kasztanowiczów. Była to bardzo miła rodzina składająca się z często chorującego ojca, bardzo fajnej mamy, pełnoletniej córki, która poszła do powstania i zginęła zaraz na jego początku oraz mojej rówieśniczki – Danusi. Ponieważ rodzice nasi, często żartując, zachwycali się nami „jaka to z NAS dobrana para”, więc ja z Danusią w to uwierzyliśmy i staliśmy się na długo parą nierozłączną, która to bez siebie żyć nie mogła. Często u siebie przebywaliśmy i dzieliliśmy się wszystkim, co było najlepsze. Ciągłe biegaliśmy pożyczać lub oddawać sól albo cukier, czy też pytać się, która jest godzina. Bardzo długo jej mama w każdą niedzielę rano zabierała mnie do kościoła na plac Grzybowski, a my przez całą drogę idąc trzymaliśmy się za rączki. Później, nawet koledzy bawiący się na podwórku, na jej widok wołali: – Czarny, patrz twoja narzeczona,

na idzie. Oczywiście ja wówczas bardzo się denerwowałem i biłem z kolegami, a ona, przeważnie zapłakana, uciekała do swojego domu, ale zaradzić temu było już nie sposób. Przyjaźń nasza została przerwana w sierpniu 1944 roku, kiedy to moja Matka zdecydowała się dom na ulicy Łuckiej opuścić i przenieść się w gruzy byłego małego getta przy ulicy Prostej. Rodzina Kasztanowiczów pozostała jeszcze w swoim mieszkaniu ze względu na stan zdrowia ojca, który znacznie pogorszył się, kiedy przyszła wiadomość o śmierci ich starszej córki. Wtedy to skończyły się na zawsze wszelkie kontakty z tymi wspaniałymi sąsiadami!

O ile aż do wybuchu wojny dnia 1 września 1939 roku wśród dorosłych domowników istniał podział na tych z „drewniaków” i tych z „kamienicy”, o tyle dzieciarnia rządziła się zupełnie innymi prawami i podział był we-



Warszawa, ul. Łucka Nr 16., m. 41.
Dom mojego dzieciństwa. Wygląd „mojej kamienicy” w ostatnim okresie swojego istnienia! Okno z „mojego” mieszkania nr 41 znajduje się na trzecim piętrze jako trzecie licząc od strony prawej.

dług kryterium dobry lub zły kolega. Na przykład dobrym kolegą był Romek mieszkający na moim piętrze, który pozwalał niekiedy bawić się na korytarzu swoimi kolorowymi klockami, których było 16 sztuk. Ale żeby dostąpić „zaszczytu” zabawy klockami, należało mieć z nim dobre stosunki koleżeńskie. Dobrym kolegą był też

Zygmus z drewniaka – Zyga- który miał stryjka w granatowej policji. Stryj ten był częstym gościem jego ojca i kiedy był już mocno „podchmielony”, pozwalał „Zydze” i jego kolesiom przymierzać czapkę policyjną z dużym daszkiem oraz oglądać pałkę i prawdziwy pistolet policyjny. Kulki z pistoletu jednak wyjmował, ponieważ, jak twierdził, dzieci tym bawić się nie mogą. W grupie naszej był też Magda, którego uważaliśmy za chłopaka bardzo nieszczęśliwego i źle traktowanego w domu. Dramat jego polegał na tym, że mieszkał on na parterze w naszej kamienicy z matką i chyba jej siostrą, a panie te były często odwiedzane przez jakichś „wujków”. Na



Józef Gałuszewski



Maria Gałuszewska



syn Ryszard



syn Zenon

czas wizyty „wujków”, Magda musiał wychodzić z mieszkania i bawić się z chłopakami na podwórku. Jego ulubionym zajęciem było siadanie na becze i oznajmianie wszystkim, że jedzie do Palestyny. Cała nasza grupa pewnego razu uznała, że Magda jest źle traktowany przez rodzinę i „wujków”, więc należy mu jakoś pomóc!

Poszukaliśmy więc gdzieś na śmietniku zdechłego kota i kiedy towarzystwo balowało przy otwartym oknie, a stół stał pod samym oknem, kota tego wrzuciliśmy do mieszkania prosto na stół. Później okazało się, że nasz pomysł dobry nie był, ponieważ my uciekliśmy, ale Magda złapany przez „wujków”, otrzymał porządne lanie. Sprawa stała się w kamienicy na tyle głośna, że nawet moja Matka starała się ustalić, czy ja czasami w tym udziału nie brałem. Ale ja oczywiście...

Fajnym kumplem przez pewien czas byłem również ja, ponieważ fundowałem lody po 5 grosików, które podbierałem mojemu Ojcu z szuflady w kredensie. Gro-

sików w woreczku było bardzo dużo, ponieważ mój Ojciec miał takie hobby, że odkładał je systematycznie z codziennego utargu Pod Żelazną Bramą. Ale na lody dostawał tylko ten, kto oddawał mi otrzymany przy zakupie lodów talonik. Ja, chyba za pięć takich taloników, dostawałem dużą porcję lodów, a dzieciarnia zazdrościła mi, że mam tak dużego loda za darmo. Sprawa jednak szybko upadła, gdyż mój Ojciec podczas kolejnego przeliczania, odkładanych każdego dnia grosików ustalił, że jest ich znacznie mniej niż było poprzednio. Zapytana o los grosików Matka, szybko się wytłumaczyła stwierdzeniem, że ma jego grosiki głęboko w d.... i żeby jej głowy nie zawracał. Brat Zenek był poza podejrzeniami ze względu na jego młody wiek, więc jako podejrzany zostałem tylko ja. Ale ja żadnego alibi nie miałem, więc przyznać się wypadało, za co otrzymałem potężne lanie. Później to już była awantura Matki z Ojcem, ale bez mojego udziału. Lody się skończyły, ale ja słyszałem też z tego, że posiadam dużą armię wycinanych kartonowych żołnierzy. Żołnierzy takich kupowało się w mydlarni u Żyda pod nr 14, po 10 groszy za arkusz. Wycinanek tych miał on bardzo duży wybór i do wiosny 1938 roku było to zasadnicze źródło zaopatrzenia. Sprawa się jednak w tym okresie bardzo skomplikowała, ponieważ kiedy starsi pod hasłem „Nie kupuj u Żyda”, wybijali im szyby wystawowe i farbą malowali okna, nasza grupa też Żydowi – mydlarzowi wrzuciła do sklepu kilka świec dymnych wykonanych z celulozowych klisz filmowych. Klisze te wcześniej służyły do gry w „facę”, a zwinięte w rolkę, owinięte w gazetę i podpalone, powodowały ogromne zadymienie. Po tym wydarzeniu baliśmy się chodzić do niego po zakupy, ponieważ panowało wśród nas przekonanie o tym, że poznaje on wszystkich chłopaków od „dymu”. Przez cały czas organizatorem i przywódcą naszej grupy był Lolek. To właśnie on podczas powstania został trafiony odłamkiem w brzuch i konał na oczach swojej Matki i naszych, a żadnej pomocy nie było!

Do wybuchu wojny głównymi naszymi zabawami była gra w „klipę” na klisze oraz jazda „fajerkami”, które to pękały, a Matka podczas gotowania zastanawiała się, dlaczego fajerki te tak często na ogniu pękają.

W tym czasie była też „nauka pływania” mojego śledzia w rynsztoku. Ponieważ śledź potrzebny był na obiad, więc Matka wysłała mnie po jego zakup do sklepu. Kiedy wracałem do domu, koledzy namówili mnie do tego, żeby zobaczyć, czy umie on pływać. Uwiązaliśmy go na sznurku i zaczęła się nauka pływania. Ale była to jakaś sztuka mało pojętna, więc pływać sam nie chciałem, dlatego owinąłem go w papier i takiego wypapranego błotem zaniosłem do domu. Matka początkowo nie mogła zrozumieć, co stało się z tym śledziem, ale kiedy opowiedziałem o wszystkim, co zdarzyło się na ulicy, złapała za ścierkę i zaczęła mnie chłostać bez litości. Ojciec pokładał się ze śmiechu, a ja salwowałem się ucieczką na korytarz.

cdn.

Kiedy latem ubiegłego roku prowadziłem z Kazimierzem Malickim długie rozmowy o początkach zielonogórskiego księgarstwa oraz o jego dorobku literackim, nie mogłem przypuszczać, że gospodarz udzieli mi swojego ostatniego wywiadu. Zdołałem jeszcze wręczyć Panu Kazimierzowi 10. nr „Pionierów” z końcową częścią tego wywiadu oraz tekstem wiersza „Modlitwa zimowa”, którą przejrzał z zaciękwieniem, rozmowa sprawiała mu jednak trudności... Było oczywiste, że stan nestora lubuskiego księgarstwa jest ciężki. Po kilkunastu dniach Pani Barbara Malicka zawiadomiła żonę i mnie o śmierci męża.

Zmarł Kazimierz Malicki, pionier zielonogórskiego księgarstwa

Kazimierz Malicki urodził się 22 grudnia 1918 r. w Żalinowie pod Inowrocławiem. Wcześniej osierocony przez ojca kolejarza, wychowywany był przez matkę, która utrzymywała dom za renty po mężu. W 1938 r. zdał eksternistycznie maturę w gimnazjum i liceum w Inowrocławiu i w tym samym roku podjął w „Dzienniku Kujawskim” pracę w charakterze „elewa redakcyjnego”, aby wkrótce, jeszcze w 1938 r., objąć stanowisko kierownika działu miejskiego. Od maja 1939 r. podjął się redagowania cotygodniowego dodatku społeczno-kulturalnego „Dziennika”, wydawanego pt. „Piast”, a w drugiej połowie sierpnia – po wcieleniu dotychczasowych redaktorów „Dziennika” do wojska – spadł na niego obowiązek samodzielnego redagowania i wydawania pisma.

We wrześniu 1936 r. zadebiutował na łamach „Piasta” wierszem „Wyszedłem dzisiaj...” i do wybuchu wojny opublikował 35 utworów poetyckich, a w 1939 r. napisał słuchowisko radiowe, przyjęte do emisji przez rozgłośnię Polskiego Radia w Poznaniu (samą emisję uniemożliwił jednak wybuch wojny).

Po zajęciu Inowrocławia przez Niemców wywieziony został na roboty rolne do Eichfrier (obecnie Wołowe Lasy w rejonie Wałcza). Zwolniony z robót po przebytej chorobie, w 1940 r. wyjechał do Generalnego Gubernatorstwa, gdzie – po wysiedleniu z Inowrocławia – pod Lubartowem mieszkała jego matka. Początkowo pracował w drukarni w Parczewie, następnie, aby uniknąć aresztowania (uczestniczył w ruchu oporu w szeregach AK) wyjechał do Dębogóry (Galicja), gdzie pracował w fabryce wozów konnych „Sędzimir”. Ponownie chroniąc się przed aresztowaniem, uciekł do Ropczyc, z Ropczyc do Wielopola, a następnie do Brzezin. W kwietniu 1945 r. wrócił do Inowrocławia.

W końcu maja 1945 r. zdecydował się wyjechać na Ziemię Odzyskaną. Po zwiadzie w Gorzowie, który nie wypadł pomyślnie, gdyż miasto nad Wartą było w dużej części zniszczone i jeszcze niespokojne, postanowił zatrzymać się w Zielonej Górze. W pierwszych dniach czerwca podjął pracę w Grupie Operacyjnej KERM, a po jej rozwiązaniu przejął księgarnię przy ul. Pocztowej „Pod filarami”, czynną początkowo jako sklep z materiałami piśmienniczymi, z niewielką ilością książek. Rychło poszerzył asortyment o serwis prasy i czasopism, rozprowadzając dziennie 2 tys.

egzemplarzy gazet i kilkadziesiąt egzemplarzy czasopism. W 1947 r. przekazał księgarnię Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza” i objął posadę jej kierownika. W nowych warunkach, wobec poszerzenia obsady osobowej księgarni, rozwinął jej działalność, wprowadzając sprzedaż hurtową i uliczną, kolportaż i loterię książkową. W 1948 r. zorganizował przy księgarni wypożyczalnię książek, która cieszyła się sporym powodzeniem. Czynna była do końca 1949 r., to znaczy do czasu połączenia SW „Wiedza” z SW „Książka”. Po utworzeniu 1 stycznia 1950 r. Państwowego Przedsiębiorstwa „Dom Książki”, księgarnia weszła w skład tej jednolitej, państwowej sieci księgarskiej.

W 1950 r. podjął pracę w utworzonej w Zielonej Górze Ekspozyturze PP „Dom Książki”, podlegającej Zarządowi Wojewódzkiemu w Poznaniu. Początkowo kierował sekcją artykułów papierniczych, następnie działem księgarskim. 1 stycznia 1960 r. objął stanowisko zastępcy dyrektora, a w 1974 r. dyrektora Zarządu Wojewódzkiego „Domu Książki”, które pełnił do czasu przejścia na emeryturę w 1980 r. W okresie swej twórczej, trzydziestoletniej działalności w PP „Dom Książki” położył ogromne zasługi w rozbudowie sieci księgarskiej na obszarze środkowego Nadodrza, za które uhonorowany został Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Już jako dziecko zawarł przyjaźń z książką, której pozostał wierny do końca: dużo czytał, zgromadził wielotysięczną bibliotekę. W latach 50. współpracował blisko z pismami księgarskimi: „Głosem Księgarza” i „Pracą Księgarską”, w których opublikował kilkadziesiąt wierszy i utworów satyrycznych i tematycznie związanych z książką i księgarstwem. Był współautorem pierwszej polskiej książki o walorach literackich opublikowanej w Zielonej Górze. Książką tą był zbiór baśni „O krasnoludkach i siedmiu zaklętych rycerzach”, wydany wspólnie z Zygmuntem Rutkowskim w 1957 r. nakładem Lubuskiego Towarzystwa Kultury. W „Nadodrzu” publikował opowiadania, które następnie – w większości – przedrukowane zostały w almanachach prozatorskich: „Podróż do zielonych wzgórz”, „Relacje”, „Zielone krajobrazy”, „Wizerunki”. W 1971 r. opublikował powieść „Ucieczka w jutro”, opartą częściowo na – literacko przetworzonych – wątkach autobiograficznych, ponadto zbiorów dla dzieci „Zielonogórskie klechdy”, a wspólnie z

I. Koniusz zbiór baśni nadodrzańskich „W Babimoście na moście”. Sporo baśni i legend Kazimierza Malickiego ukażło się w wydawnictwach zbiorowych: „Złota dzida Bolesława”, „Legends znad Odry”, „Marianna oraz inne podania i legendy lubuskie”. Pojedyncza baśń „Goliszowe buty” została przedrukowana w podręczniku do nauki języka polskiego dla IV klasy „Polska mowa” Marii Nagajowej. Baśń uwzględniana była we wszystkich wydaniach podręcznika z lat 1981-1998. Zielonogórska rozgłośnia Polskiego Radia wyemitowała osiem słuchowisk Kazimierza Malickiego. Występowały w nich wątki historyczne, akcentujące zwłaszcza polskie tradycje ziem zachodnich oraz dotyczące problematyki związanej z zasiedlaniem Ziemi Odzyskanych, a także zagadnień współczesnych.

Zmarł 28 listopada 1999 r.

Bibliografia osobowa Kazimierza Malickiego. – MALICKI, Kazimierz: Zielonogórskie wspominki. W: Mój dom nad Odrą. Zielona Góra, 1961, s. 77-86; Tenże: Droga do księgarstwa. W: Mój dom nad Odrą. Zielona Góra, 1971, s. 201-209; Tenże: Przyjaźń z książką. Wspomnienia z lat 1945-1959. „Księgarz”, 1981, nr 1; Tenże: Rozmowa sprzed 13 lat. Rozm. przepr. Jacek Matuszewski. W: Dziennik Kujawski. Jednodniówka. Włocławek, 1993, s. 3, 8; Tenże: Wiersze i dziennikarka. „Kujawy”, 1980, nr 21, s. 5, 8; Tenże: Przyjaźń z książką. Rozm. przepr. G. Chmielewski. „Pionierzy”, 1999, nr 9-10.

Grzegorz Chmielewski

Kazimierz Malicki

PRZYJAŹŃ Z KSIĄŻKĄ

*Ten wiatr, co głaskał karty książki,
pachniał słowiańsko polnym kwiatem,
lecz dziwną sztuką wyobraźni
szumiał monsunem lub pasatem.*

*Łąka nabrzmiała krzykiem czajek,
nie tknięta kosą ani sierpem,
stawała się przez magię książki
sawanną, prerią albo stepem.*

*Ta rzeka cicha, szara Noteć
z żaglami chmur rozpiętych na dnie,
płynęła Nilem, Amazonką,
Gangesem, Wołgą lub Rio Grande.*

*Spiewki pastuchów, krzyk fernali
i rżenie koni, turkot wozów
stały dziwną, niestychaną
przez czas i przestrzeń z książką podróż.*

*Tłum bohaterów różnych imion,
odmiennych ras, dalekich plemion
– łączył mi serce od dzieciństwa
z Człowiekiem i Ziemią.*

Eichfier, grudzień 1939 r.

Starość nie radość

Polska to kraj, w którym ludzie starzy narażeni są na niewygody i niedole. Brakuje dla nich miejsc w szpitalach, domach rencistów, a więź rodzinna rozpada się w pogoni za dobrami materialnymi. Choć nie stać nas na stworzenie człowiekowi luksusowych warunków materialnych, możemy mu jednak umilić starość, przede wszystkim okazywaniem szacunku i korzystaniem z jego wiedzy i doświadczeń.

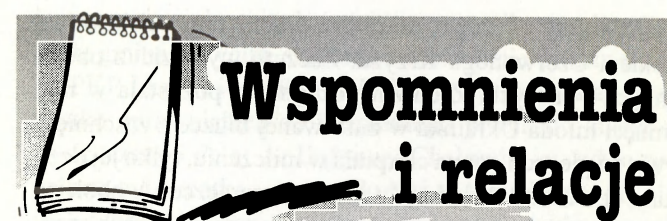
Rytm życia emeryta ulega poważnemu zakłóceniu, bo przestają na nim ciążyć obowiązki zawodowe, a czas, którego zawsze brakowało, strasznie się wydłuża. Od rodziny i otoczenia zależy, czy odnajdzie się on w nowej sytuacji. Tymczasem, jakże często, obserwuje się protekcyjno-nonszalancki stosunek do człowieka starego, którego spowolnione reakcje irytują młodych. W autobusie, tramwaju czy kolejce często słyszymy uwagi w rodzaju „dziadku, pospiesz się”, czy „babciu, gdzie się pchasz” – siedząc sobie wygodnie na siedzeniu, nie ustępując miejsca ludziom starszym, schorowanym, samotnym, wymagającym stałej opieki lekarskiej i drugiej osoby. Okazanie im nieco pomocy i życzliwości wniosłoby trochę zadowolenia z życia staremu człowiekowi.

Ludziom starszym często nie brakuje chęci i energii do działania. I nie tylko wiek kalendarzowy czy choroba im je odbiera. Bardzo często tłumione są one przez rodzinę. Jakże często „ubezwłasnowolniamy” naszych starszków narzucając im nasz, jedynie słuszny, punkt widzenia, zabraniając nawet w drobnych sprawach swobodnego wyboru i działania. Najbardziej tragiczny bywa los ludzi starszych, jeszcze sprawnych umysłowo a przykuty do łóżka i zdanych całkowicie na pomoc rodziny. Rzadko pomoc ta wyraża się w okazywaniu czułości, podkreślaniu jak bardzo chory jest nam drogi i niezastąpiony.

Najczęściej pomoc to zaspokajanie podstawowych życiowych potrzeb. Często na zewnątrz wszystko wygląda pięknie, a w środku kłębi się głębia rozczarowań i niepokoju. Pamiętamy więc jak ważne są dla seniorów drobne nawet sygnały miłości – uścisk ręki, uśmiech na twarzy. Szanujmy ich, piszmy do naszych dziadków, odwiedzajmy ich, pamiętajmy o ich świętach. Dzisiaj młodzi, pełni energii, na stanowiskach, odnoszący sukcesy zawodowe też kiedyś będziecie starzy. Trzeba nauczyć się kochać ludzi, dlatego że są ludźmi serca. Seniorów wypełnia ból, ból ogromny z tęsknoty, z tęsknoty za wami.

*Śmierć za człowiekiem ustawicznie chodzi
Niech zdrowie
Niech nas młodość nie uwodzi.*

Stanisław Prałat



Moja młodość na obczyźnie

CZ. II

Jesienią 1943 roku dotarła do nas straszna wiadomość. W sąsiedniej wiosce Ukrainiec, który był często bity przez Niemca-bauera, zemścił się na jego rodzinie, został schwytany, przywiązany do słupa i tam zamęczony, a trupa powiesili, pozostawiając na widok publiczny. Wszyscy Rosjanie i Ukraińcy z naszej wioski musieli tam pójść i patrzeć – Rosjanki opowiadały mi o tym później.

I tak dożyliśmy lat 1943 i 1944, kiedy Niemcy stawali się jakby łaskawsi dla nas, a sam Erik Klassen zaczął uczyć się niby żartem pojedynczych słów polskich i rosyjskich. We wsi Klein Zünder było nas jakby coraz więcej, bo wszystkich mężczyzn – Niemców zabrano do wermachtu. Bracia Janki przejęli funkcje po robotnikach niemieckich, tj. Józef do pracy przy koniach, a Antoni w oborze przy krowach, skąd odwoził mleko na stację – miał więc możliwość trochę mleka dla mnie odlać, wówczas dopiero po dwóch latach mogłam mleka się napić. Wtedy nie chodziłam już głodna. Muszę zaznaczyć, że mimo pracy w kuchni, gdzie się gotowało jedzenie, nie było możliwości zjeść coś ponad to wydzielone. Bo gdy żywność była w kuchni w czasie gotowania, to były też Niemki, a zapasy żywności były zamknięte na klucz w piwnicy. Nie dostawaliśmy ani grama cukru, żadnych słodczy, mleka, masła czy owoców – mimo że też w ogrodzie i sadzie pracować musiałam – jedynie dwa razy w tygodniu marchew – zupa z marchwi, dwa razy w tygodniu zupa z ziemniaków, na kolację ziemniaki smażone na kawie zbożowej, na śniadania dwie kromki chleba i krążek margaryny oraz czarna kawa zbożowa. Organizm miałam osłabiony, odwapniony, bóle zębów dokuczały, bóle głowy i stawów nieraz nie pozwoliły mi z łóżka wstać. Dopiero w 1944 roku Niemka zaczęła mi przydzielać kostkę margaryny na tydzień i trochę marmolady z marchwi i buraków. Mężczyźni te same porcje. Jadłospis powtarzał się z tygodnia na tydzień, ale był.

Pod koniec 1944 roku groźba głodu była nam bliska. Zimą 1944/1945 front był coraz bliżej naszej wioski. Widzieliśmy w oddali łuny pożarów i coraz więcej uciekinierów oraz przesiedleńców rodzin niemieckich. Dom bauera zapelniał się wprawdzie Niemkami z małymi dziećmi z różnych miast, a potem całe zabudowania i podwórze zapelnione wozami cywilów, później wermachtem. Zaczęło się bombardowanie. Pierwsza bomba zmiotła z powierzchni ziemi spichlerz bauera, następne trafiły w stajnie z bydłem. Niemki kryły

się w piwnicy. Może dziwne, ale ja się nie bałam tych bomb – czekałam na wolność, ale jeszcze długo.

Pod koniec stycznia albo na początku lutego mroźnego popołudnia usłyszeliśmy tupot drewniaków na jezdni i wrzask wachmanów, to pierwsza kolumna więźniów z obozu koncentracyjnego Stutthofu przeprowadzana przez Klein Zünder. Widok tych szkieletów ludzkich w pasiach wzbudził w nas taką litość i nienawiść do wachmanów, ale i odwagę, bo nie zważając na nic, na żadną groźbę, kto co miał do jedzenia, rzucił w stronę kolumny w pasiach, ale wachmani odgarniali nas kolbami i tłukli tych głodnych.

Następny przemarsz kolumny więźniów był też noclegiem dla nich w stodole naszego bauera. Nie wiem, jak to zrobiły Rosjanki, ale przyszły do mnie następnego dnia wieczorem mówiąc, że mają dwie chore z kolumny. W kuchni miałam tylko gotujące się ziemniaki w kotle (w łupinach) dla uciekinierów niemieckich, ale udało mi się dać im tyle, ile chciały. Nazajutrz bauer z całą rodziną wyjechał ze wsi. Niemka kazała mi z nimi jechać, ale ja nie miałam ochoty, zwlekałam, a czas naglił, coraz niżej samoloty krążyły, ostrzeliwali uciekinierów – miałam nadzieję, że czas niewoli się kończy dla mnie i czas wracać do matki. Zamieszanie było ogromne, wołałam opuścić jak najszybciej dom bauera. Przyjęła mnie Janka do swojego mieszkania, ale nie na długo.

Wieś opuszczona przez bauerów całkowicie w pierwszych dniach marca 1945 roku została otoczona przez gestapowców w czarnych mundurach, a nas wszystkich (robotników przymusowych) zagnano na środek wsi. Otoczyli nas wachmani, ustawili w kolumnę i pognali w kierunku Stutthofu. O czym wiedzieliśmy od Janka, byłego więźnia, któremu udało się zbiec z „pochodu śmierci” w lutym, tj. z przemarszu kolumny więźniów przez naszą wieś. Przechowywała go Janka Zurek i z nami ponownie został do obozu koncentracyjnego zapędzony w marcu. Mimo nalotów kolumna nasza posuwała się w stronę obozu. W jednym lasku udało się nam zbiec z kolumny, ukryliśmy się w wygrzebanych norach w lesie. Niestety wachmani obławą wymietli nas z lasu i zapędzili do obozu koncentracyjnego Stutthof.

Przekroczyliśmy bramę, nad którą był napis „Arbeit mach frei”. Zmęczeni po marszu bez jedzenia, szukaliśmy miejsca, gdzie można było usiąść, odpocząć. Prycze szybko się zapelnily, gdzie zaraz oblaży nas wszy odzieżowe. Wieczorem ogłoszono, aby ustawić się po zupę – była to ciecz brunatnoszara z pływającymi liśćmi buraków. Pragnienie, które nam dokuczało, zmusiło nas do wypicia tego. Rano dano nam kromkę chleba i trochę czarnej kawy. Następne dni prawie bez wydawanych posiłków. Głód zaczął nam dokuczać, a jeszcze więcej pragnienie.

Prawdziwe piekło zaczęło się, kiedy nadlatywały samoloty i zrzucały na obóz rozrywające małe bomby. Odlamki tych bomb dziurawiły drewniane baraki, siały śmierć i kalectwo setkom ludzi, współtowarzyszom. Kto przeżył kolejny nalot, szukał schronienia. Ja z Janką Zurek i jej braćmi oraz Jankiem, kryliśmy się pod wannami w łaźni, a gdy ściany baraku były dziurawe, wykopaliśmy jamę podłużną pod betonową podłogą łaźni. Wejście było pod oknem baraku, na odgłos warkotu samolotu wyskakivaliśmy przez okno i

wsuwaliśmy się pojedynczo do naszej jamy. Oczywiście wachmanów już nie widzieliśmy. Gdy ucił świst bomb, słyszeliśmy jęki i wołania o pomoc naszych współtowarzyszy niedoli. Ja byłam już chora na krwawą dysenterię – czerwone, biegunkę. W drodze do klozetu widziałam masę trupów i rannych. Mężczyźni zbierali rannych i zanosili do kantyny. Widziałam tam jednego lekarza dla tylu chorych i rannych.

Pamiętam też jeden wieczór majowy, kiedy wielu więźniów zebrało się w jednym z baraków, przy drzwiach otwartych rozpoczęło wielojęzyczną modlitwę do Matki Boskiej – nagle warkot samolotu przerwał modlitwę, ale niektórzy wołali o pomoc do nieba, a drudzy, zwłaszcza mężczyźni, wchodzili na dachy baraków, aby wapnem malować krzyże. Mieli nadzieję, że piloci wezmą ten znak pod uwagę – że tu są chorzy i ranni. Niestety, nadal zrzucano bomby, po których z baraków pozostawały resztki lub głębokie leje w miejscu, gdzie stał barak. Wiedzieliśmy, że wokół obozu jest linia frontu, bo pociski armatnie i z dział przelatwały często nad nami. A kiedy ucił na chwilę, zasypialiśmy lub szliśmy szukać wody.

Pewnego ranka postanowiliśmy przeciąć druty naprzeciwko naszego baraku nad samą ziemią i wyjść z obozu po wodę zdatną do picia, bo w obozie nie było. Pamiętam, że tym razem ja miałam pójść. Wyszedłam z Antkiem Zurkiem przez tę dziurę w ogrodzeniu, dalej przez pasmo lasu do szosy, za którą zobaczyliśmy zabudowania. Tam się skierowaliśmy, ale nas zauważono, zaczęto nas ostrzeliwać. Rzuciliśmy się na ziemię. Antek pouczył mnie, abym kryła się za drzewa i zygzakiem wracała do obozu. Udało się tym razem znowu przeżyć.

Nadeszła noc, czekając jak zwykle nalotu, usłyszeliśmy dopiero nad ranem warkot kukuruźnika krążącego nad obozem. Pełna niecierpliwości prosiłam siedzących z brzegu naszej jamy, aby zobaczyli, co to ma znaczyć. Wyglądający informował nas, że samolot krąży nisko i wyrzuca jakieś papierki. Były to ulotki. Jedna z nich zatrzymała się na kolcach drutu naprzeciw naszego baraku. Pokusa była wielka, a także ciekawość. Pamiętam, jak jeden z braci czytał, treść ulotki ogłaszała kapitulację Niemiec – koniec wojny.

Mimo że serca nasze radość przepełniała, byliśmy niepewni naszego losu. Dopiero krzyk rannych współtowarzyszy niedoli zmusił nas do wyjścia z jamy. Wówczas też zobaczyliśmy pozostałości z baraków, głębokie leje po bombach, pełno trupów i rannych.

Pełna mieszanych uczuć usłyszałam też krzyki radości pomieszane z jękiem rannych. Zaczęliśmy zbierać żyjących, potrzebujących pomocy i znosić ich do kantyny. W pewnym momencie zwrócił naszą uwagę inny głos, zobaczyliśmy pędzących ludzi w stronę głównej bramy obozu, pobiegliśmy również. Zobaczyłam motocyklistę w mundurze i pilotce na głowie, czarnego od kurzu, ale głos jego oznajmiał nam wolność. Był to żołnierz Armii Czerwonej. Obrzą tamtej chwili wyrzył się w mojej pamięci wielkim wzruszeniem. Żołnierz ten siedząc na jadącym wolno motocyklu, odpychał się nogami wołając po rosyjsku: – Towarzysze droga wolna, wychodźcie, idźcie do domu. Powtarzał te słowa jadąc w głąb obozu. A za nim zbierał się tłum ludzi. Po

czym zaczęły wjeżdżać do obozu ambulanse wojskowe ze znakiem Czerwonego Krzyża. Zaczęto wywozić z obozu rannych i chorych. Z chwili pożegnania pozostała w mej pamięci młoda Ukrainka w haftowanej bluzce z zaschniętą krwią na plecach, ranna cierpiała w milczeniu, tylko jej oczy i usta spieczone świadczyły o bólu i gorączce. A obok na pryczy konający mężczyzna, a przy nim na klęczkach zrozpaczona kobieta. Nie mogłam dłużej patrzeć i żegnać tych, którzy o własnych siłach opuścić obozu nie mogli.

Kazano nam wychodzić z obozu, wskazywano wolną drogę do domu. Odnalazł nas wówczas Janek – Kaszub w moim wieku, kolega naszych wspólnych spotkań u Janki w Klein Zünder. Chciał iść koniecznie z nami, bo ponad cztery lata byliśmy razem w jednej wsi na obczyźnie. Tam stanowiliśmy jedną polską rodzinę. Niestety, miał odłamek w powłoce brzusznej, nie uszedł z nami daleko za bramę obozu. Pozostał czekając na ambulans. Nie znany mi jest los tego chłopca.

Nasi wyzwoliciele – żołnierze Armii Czerwonej – wskazywali nam drogę, którą można było wracać do kraju, do domu, do matki – na Królewiec, Elbląg, Tczew. I tego obrazu nikt nie wymaże z mojej pamięci – pochodź wyzwolonych z obozu przymusowych robotników – a obok tej drogi, na polanie czy łąkach zobaczyliśmy wielkie zgromadzenie żołnierzy niemieckich, tym razem stojących w milczeniu, nie strzelających więcej do nas i nie wyzywających nas od polskich świni.

Był to dzień wyzwolenia – 10 maja 1945 roku.

A później już tylko droga do domu, do mamy przez opustoszałe miasta i wioski. Mimo mej choroby czerwonej biegunki, na obolałych nogach, w gorączce, pokonywałam do 20 kilometrów dziennie, aż do utraty sił i do zachodu słońca. Szłam, bo szła moja przybrana siostra ze swymi braćmi. Wiedziłam, że tylko z nimi trafię do domu. Nocowaliśmy w stodołach lub opuszczonych domach zapelniających się powracającymi do swoich stron rodzinnymi.

Miałam wówczas 19 lat. Za mną cztery lata przymusowych robót i prawie dwa miesiące obozu koncentracyjnego – cztery lata mojej młodości na obczyźnie. Dlatego też pierwszy dzień wolności, który przyniósł mi niezapomnianą radość, ale i chęć szybkiego powrotu do domu, do matki – to odruch ratowania zdrowia i życia, a także budzące się marzenia o nauce.

Dzięki wyzwolicielem i opiece współtowarzyszy tych lat, przeżyłam i mimo upływu lat obrazy tamtych dni mam żywe w pamięci. Czuję nadal wielką wdzięczność dla tych, którzy nas wyzwolili, ale też dla tych, którzy pomogli mi przetrwać. Szczególnie wdzięczna jestem Jance Zurek, która była dla mnie jak matka, pocieszała w smutkach i cierpieniach, kołała tęsknoty przez cztery lata. Potem w drodze do domu udzieliła pomocy, dzieląc się każdą odrobiną żywności. A także jej bratu Antoniemu Zurkowi za braterską opiekę i obronę. Także tym żołnierzom radzieckim, którzy dowiadując się, że wracamy z obozu koncentracyjnego, obdarowali nas (w Elblągu) polskimi banknotami 10- złotowymi (pierwsze polskie pieniądze po wyzwoleniu).

A gdy już dalej iść nie mogłam, Janka Zurek udzieliła mi gościny przez dwa tygodnie w domu swych rodziców,

lecząc mnie ziołami i odzywając, czym tylko mogli w Gackach, gmina Drzycim, skąd odwieziono mnie wozem do stacji PKP Laskowice. W gminie Drzycim otrzymałam przepustkę uprawniającą do bezpłatnego przejazdu koleją do Bydgoszczy i dalej do Dąbrowy Chełmińskiej, gdzie czekała na mnie matka i siostry. Podróż ta sprawiła powrót niewyleczonych choroby – krwawej dysenterii, anginy, owrzodzenia nóg i ogólnego wyczerpania. W domu zastałam chorą matkę i ciężko chorą siostrę Łucję. Byłam więc pod opie-

ką siostry Anny i szwagra, którzy zawieźli mnie pożyczonym wozem do lekarza kilka kilometrów, bo w Dąbrowie lekarza wówczas nie było.

Gorączkowałam przez wiele tygodni, często śniło mi się obozowe piekło i przez kilka lat po wojnie lekarze kierowali mnie do szpitala, a po leczeniu szpitalnym do sanatorium w Polczynie, Polanicy i Ciechocinku.

Helena Maria Wierzbicka
z d. Czyżewska

Kiedy myślę OJCIEC

Wspominałam o Ojcu muzykologu – między innymi twórcy życia muzycznego w naszym mieście, Ojcu polityku i administratorze – przedwojennym burmistrzu i pierwszym wicestaroście w powojennej Zielonej Górze, o Ojcu, którego nie ominęły restrykcje okresu stalinowskiego.

Dzisiejsze wspomnienie adresuję do niewielkiej już grupki powstańców wielkopolskich, generacji, która była świadkiem najstraszniejszych kataklizmów wojennych XX-wiecznej Europy.

Kiedy trwały przygotowania do powstania, Roman Mazurkiewicz studiował muzykologię w Berlinie. Na wieść o formowaniu się oddziałów powstańczych przerwał studia i zgłosił się jako ochotnik (Ojciec nie miał stopnia wojskowego), aby wspomóc walczących o polskość i wolność.

Przykład Poznania, w którym przez 10 dni toczyły się walki o każdą niemal placówkę i ulicę, podziałał na ruch patriotyczny we wszystkich miastach i miasteczkach Wielkopolski. Wszędzie formowały się miejscowe oddziały powstańcze rozbrajające Niemców i wprowadzające rządy tymczasowych władz polskich. Akcja ta niejednokrotnie spotykała się z poważnym oporem ze strony zorganizowanych Niemców, dochodziło do mniejszych i większych utarczek. Po chwilowym zaskoczeniu wypadkami poznańskimi i całkowitym oswobodzeniu miasta, 6 stycznia 1919 roku, Niemcy zaczęli organizować przeciwwuderzenie i niebawem na wszystkich odcinkach frontu wielkopolskiego ruszyła ofensywa niemiecka.

Ojca przydzielono do oddziału walczącego na odcinku Chodzież-Lipiny. Tak wspomina ten wojskowy wątek swojego życia:

„...Widzieliśmy w początkach stycznia oddziały powstańców uzbrojonych w kosy, widły, cepy, sekate lagi i gdzieniegdzie tylko jakiś junak dumnie potrząsał dubeltówką na śrut lub flowerem. Nie brakło nawet średniowiecznych halabard, oszczepów, dzirytów, pistoletów i rusznic, które do tej chwili były ozdobą ścian zbrojowni w jakimś pałacu hrabiowskim.

Taki to oddziałek, składający się z około 60 ludzi wyekwipowanych jak na maskaradę, zdobył miasto Chodzież, gdzie pozyskał jeden ciężki i dwa lekkie karabiny maszynowe, jedno działko polowe 75 milimetrowe, około 60 karabinów i sporo amunicji. To działko 75 mm stanowiło całą naszą „artylerię” w początkach stycznia na odcinku Chodzież – Radwonki –

Margonin – Lipiny i odegrało ważną rolę w działaniach niemieckich w kierunku na Próchnowo. Niemcy posiadali w Szamocinie doskonale zorganizowaną artylerię i razili ogniem nasze placówki między innymi także w Margonińskiej Wsi, wyrządzając nam poważne straty i dufając w to, że przeciw my nie byliśmy w stanie odplacić im wet za wet, bo nie posiadaliśmy artylerii. Nie odniosły skutku kilkakrotne nasze groźby zanesione Niemcom przez naszych parlamentarzystów, a żądające zaprzestania ognia, w przeciwnym bowiem razie my rozpoczniemy bombardować miasto Szamocin. Ale Niemcy kpili sobie z naszych pogroźek, a kiedy pewnego dnia celny ich pocisk rozwalil wiatrak opodal naszych stanowisk, po naradzie postanowiliśmy jednak zareagować. Cała nasza „artyleria” składała się ze wspomnianej jedynej armatki oraz jednego do niej ładunku. Artylerzysty nie było po naszej stronie żadnego. Mimo to zabraliśmy się do rychtowania działa, a było nas trzech: podporucznik z pruskiej formacji kwatermistrzowskiej, sierżant taborów i ja jako cywil – ochotnik. Gdy po długim nastawianiu wreszcie zagrzmiął wystrzał, wszyscy my trzej „kanonierzy” – bohaterowie leżeliśmy na ziemi i szczęście, że nie było świadków tej naszej czynności balistycznej. I nagle zamilkła artyleria niemiecka, a po upływie niemal godziny od lasu zbliżało się ku nam trzech parlamentarzystów niemieckich i wymachując białą płachtą i zielonymi gałęziami z daleka już wołali „halt, halt Feuer einstellen”. Okazało się, że nasz granat wpadł do domu policjanta miejskiego w Szamocinie, ścieląc ofiary i burząc częściowo dom. Nie potrzebuję chyba dodawać, jak dumnie chępliśmy się wobec Niemców, podobnie jak Zagłoba w Zamościu oblężonym przez Szwedów.

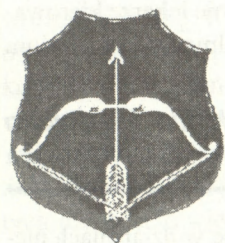
Można by wyliczyć mnóstwo podobnych śmiałych i zachwałych poczynań powstańczych, które nam w rezultacie umożliwiały uzbrojenie naszych oddziałów i faktem jest, że w tej walce sam wróg dostarczał nam broni i amunicji...

...Ofensywa niemiecka rozpętała zagorzałe walki na wszystkich frontach powstańczych, szczególnie ciężkie i długotrwałe zmagania toczyły się wzdłuż Noteci, pod Nakłem, Szubinem, Rynarzewem i Łubiszynem, dalej na odcinku Ujście – Czarnków – Mirosław – Romanowo – Piła oraz w wielu innych punktach obficie zroszonych krwią synów Wielkopolski...”

Niemal pod koniec walk rannego Ojca osadzono w więzieniu w Pile. Kiedy zdołał uciec z transportu podczas przewożenia na przesłuchanie, zwycięstwo było już blisko. W 1948 roku zweryfikowany został przez Zarząd Główny Związku Powstańców Wielkopolskich pod nr. 761 i jak wielu innych powstańców odznaczony medalem „Za Czynny Udział w Akcji Zbrojnej w Powstaniu Wielkopolskim w 1918 i 1919 roku”.

Zdzisław Krasko

PIŃSK – STOLICA POLESIA MA 100 LAT!



Herb Pińska

część VII

(wojna 1939 r.)

Traktat wersalski z 1919 r. wprowadzając po I wojnie światowej nowy ład terytorialny spowodował, że większość państw europejskich była ze sobą w konflikcie oraz istniały w nich znaczne mniejszości narodowe. Przez 15 lat do siłowych zmian ładu wersalskiego nie dochodziło, państwa borykały się z trudnościami wewnętrznymi, społeczno-politycznymi i gospodarczymi. Istniały też jeszcze zawarte po wojnie układy o nieagresji.

Najbardziej brzemienne w skutki, i to na skalę światową, okazały się zmiany wewnętrzne w Niemczech. W społeczeństwie silne poparcie zyskały hasła głoszone przez Adolfa Hitlera, który w 1933 r. został wybrany kanclerzem. Od 1935 r. zmiany w Niemczech nabrały gwałtownego przyspieszenia. Przy biernej postawie, a nawet przyzwoleniu Zachodu Niemcy zbroili się i powiększyły swoje terytorium. Na jesieni 1938 r. Niemcy były już militarną potęgą zagrażającą Polsce.

Od 24 października 1938 r. Niemcy zaczęły wysuwać żądania w stosunku do Polski, usilnie je ponawiając w styczniu i lutym 1939 r. Żądania te Polska stanowczo odrzuciła, wojna stawała się nieunikniona.

Polska w 1939 r. miała zawarte traktaty o nieagresji z Sowietami z 1932 r., z Niemcami z 1934 r., sojusz wojskowy z Francją oraz tzw. gwarancje brytyjskie. Jednak polityczna krótkowzroczność państw zachodnich spowodowała, że Polska musiała walczyć w osamotnieniu. W 1939 r. granica polsko-niemiecka była dla Polski niezmiernie trudna do obrony, przygotowano operacyjny plan obrony „Zachód”.

Pińsk, pomimo że znajdował się na głębokim zapleczu, też odczuwał napiętą sytuację międzynarodową, która w drastyczny sposób dała o sobie znać 23 marca 1939 r., gdy ogłoszono mobilizację we Flotylli Rzecznej MW oraz w 84 Pułku Strzelców Polskich.

W ramach planu „Zachód”, Armię „Łódź” miała wzmocnić 30 Dywizja Piechoty (d-ca gen. bryg. Leopold Cehak), której



Pińsk, poczet sztandarowy 84 PSP, w tle koszar przy ul. Albrechtowskiej



Kadra oficerska 84 PSP na manewrach z gen. broni Kazimierzem Sosnkowskim, do września 1939 r. inspektorem Armii „Polesie”.

dowództwo stacjonowało w Kobryniu, a w jej skład wchodził 84 Pułk Strzelców Polskich z Pińska z jego III Batalionem stacjonującym w Łunińcu. 84 PSP, którego dowódcą był już 44-letni płk dypl. Stanisław Sztarejko, w dniach 24-26 marca 1939 r. opuścił Pińsk i Łuniniec, by po kilku dniach wylądować się w miejscowościach Rusiniec i Siemkowie.

Przed 1 września 1939 r. 30 DP weszła w skład nowo utworzonej GO „Piotrków” pod dowództwem gen. bryg. Wiktora Thommée. 84 Pułk Strzelców Poleskich z Pińska dzielnie walczył od 1 września w okolicy Działoszyna koło Częstochowy, a potem w obronie twierdzy modlińskiej aż do 29 września 1939 r.

Płk dypl. S. Sztarejko, oznaczony dwukrotnie Krzyżem Virtuti Militari, ranny w Modlinie, więzień oflagu Woldenberg (Dobiegniew) i Murnau, zmarł w Londynie w 1978 r.

W Pińsku w Flotylli Rzecznej pogotowie wojenne odwołano i 28 marca 1939 r. rezerwistów odesłano do domów.



Na przepustce nad Piną; na drugim planie przystań jachtklubu pińskiego.

W planie operacyjnym „Zachód” zadaniem Flotylli Rzecznej MW była osłona granicy wschodniej w pasie dorzecza Prypeci. Wsparcia lotniczego Flotylla już nie miała, w 1937 r. rozwiązano Pińską Eskadrę na skutek zużycia wodnosamolotów, zakup nowych przełożono na lata 1939/1940. W kwietniu 1939 r. Pińska Flotylla otrzymała polecenie wzmocnienia obrony wybrzeża morskiego. Przekazano do floty część kadry oficerskiej, uzbrojenia, koni taborowych i umundurowania. W okre-

sie 30.04.-15.06.1939 r. kmr W. Zajączkowski zastępował chorego dowódcę floty kontradm. Józefa Unruga, czynnie uczestnicząc w przygotowaniach wybrzeża do obrony.

Gdy przyjechaliśmy z woj. białostockiego do Pińska na początku lipca 1939 r., miasto funkcjonowało normalnie, tylko kuzyna Mikołaja Gruszeńskiego nie było, został zmobilizowany do Grudziądza. Niektóre bogate rodziny, szczególnie żydowskie, wyjechały za granicę. Wybierano pieniądze z PKO, robiono jakieś zapasy, ale jeszcze powoli i spokojnie, zaopatrzenie w sklepach było pełne. Myśmy robili zakupy w pobliżu, we wschodniej części placu 3 Maja. Pieczywo w suterenie u Żyda (świetne bułeczki kajzerki), wędliny u Niemca, który miał sklep w murze klasztoru (wspaniałe baleron), artykuły tzw. kolonialne w dużym sklepie K. Korabowicza, nabiał u wiejskiej gospodyni, która co drugi dzień rano przynosiła go do cici do domu. Ponadto na rynku prosto z łódek przy brzegu Piny lub od cici np. kaszę czy miód, gdyż wujostwo też mieli gospodarstwo wiejskie. Czasami szliśmy na lody do słynnej cukierni Gregorowicza naprzeciw gimnazjum żeńskiego przy ul. T. Kościuszki, a jakie tam były pączki! Lepsze niż po wojnie u Bliklego w Warszawie.

Gdy wróciliśmy pod koniec sierpnia z miesięcznych wakacji z bratem i babcią Dominiką, która miała zamieszkać z nami w Pińsku, panowała już psychoza wojenna. Wzmógł się ruch na ulicach, wszędzie mówiło się o wojnie, wykupywano różne towary, robiono zapasy.

23 sierpnia 1939 r. dla Flotylli Rzecznej MW ogłoszono mobilizację alarmową, a 30 sierpnia mobilizację powszechną.



Pińsk 1938 r. Widok na ul. Królowej Bony i wiadukt na most od strony klasztoru. Pierwszy z prawej – dom wujostwa Gruszeńskich.

Rekwirowano cywilne jednostki pływające, przyjmowano rezerwistów formując Batalion Zapasowy. Stan osobowy Flotylli z około 700 osób wzrósł do ponad 2000.

Ponieważ dom wujostwa stał w centrum Pińska (róg ul. Królowej Bony i ul. Mostowej) i przy moście do tego było w nim kasyno podoficerskie marynarki, babcię i nas dzieci odwieziono do wsi Pińkowicze (5 km na wschód) do najstarszego kuzyna Janka Gruszeńskiego. Tam od 1 września z synem Janem chodziłam do szkoły. Witek do I klasy, ja do VI. Po kilku dniach naukę zawieszono. Tam się dowiedziałam, że wybuchła wojna. Niemcy napadli na Polskę, tam też słyszałam przez radio słynne „uwaga, uwaga, nadchodzi...”

W Pińkowiczach też było słychać wybuchające w Pińsku

bomby, wujek Aleksander Gruszeński załadował w Pińsku na furmankę kobiety (mamę, ciocię i kuzynkę Marysię), a potem na drugą w Pińkowiczach babcię i dzieci (Witka i mnie z bratem) i wywiózł nas przez Horodyszcze 10 km za Pohost Zahorodski do chutoru Czwilcze. Było tam tak cicho i spokojnie, że gdy dojeżdżaliśmy o zmroku, mój śpiący brat zawinięty w pierzynę, zsunął się na piaszczystą drogę. Musieliśmy wracać i go szukać, odnaleźliśmy dalej śpiącego w najlepszej.

Chutor Czwilcze jesienią 1939 r. (4 km od wsi Kamień i 3 km od wsi Bogdanówka) to tylko 3 gospodarstwa Gruszeńskich oddalone od siebie o 200-300 m, każde po około 100 ha o zdecydowanej przewadze lasów. Gospodarstwo wujka to niewielkie zabudowania gospodarcze, 2 konie i 2 krowy oraz bardzo duży parterowy drewniany dom w budowie, w którym były wykończone 2 pokoje i duża kuchnia, a reszta to szkielet z belek, wspaniałe miejsce do zabawy. Mniejszy pokój zajmowała córka mamy i cici kuzyna Aleksandra Protasowickiego ze wsi Kałlaurowicze, 25-letnia Helena Gruszeńska z Protasowickich, od kilku miesięcy wdowa, która właśnie likwidowała swoje, odległe o 200 m gospodarstwo, aby przenieść się do Pińska na ul. Zawalną. Trzecie gospodarstwo, duże niczem dworek, należało do brata wujka, Stefana Gruszeńskiego, który był wójtem, a gospodarzyli jego synowie. Najstarszy żonaty miał dwóch synów i w moim wieku córkę Lidkę (obecnie mieszka w Paryżu). Tam wśród lasów bezpiecznie przeżyliśmy straszny wojenny wrzesień 1939 r.

W Pińsku pozostali pilnować domu kuzyn Jurek i mój ojciec, który jeszcze przez kilka dni jeździł rowerem do wsi Domaszycze prowadzić lekcje, a nawet za resztę pieniędzy sfinalizował kupno w Albrechtowie za torami 2000 m² działki. Akt notarialny sporządzony w kancelarii Eugeniusza Szyllinga, ul. Karolińska 62, nosi datę 6 września 1939 r.! Potem obydwaj brali udział w obywatelskiej obronie miasta.

Wczesnym rankiem w piątek 1 września 1939 r. rozpoczęła się wojna niemiecko-polska, która stała się początkiem II wojny światowej. Życie w Pińsku powoli się zmieniło. Komendantem garnizonu został kmr ppor. Alojzy Pawłowski, do Komendy Miasta zgłaszali się ochotnicy do wojska. Trwała dalej mobilizacja rezerwistów do Batalionu Zapasowego, który zakwaterowano w fabryce zapalek i szkole żydowskiej. Profesor łaciny z gimnazjum Mieczysław Moroniewicz tworzył cywilną służbę Obrony Przeciwlotniczej. Po mieście chodziły wzmocnione patrole policji i wojska, a uzbrojone łodzie patrolowały Pinę i rozlewiska Prypeci. Ludność miasta pomna głodu w I wojnie światowej suszyła suchary z chleba.

Już 1 września nad Pińskiem pojawił się samolot rozpoznawczy, a od 5 września były częste naloty, nie wyrządziły większych szkód materialnych, ale byli ranni, a nawet zabici i wywoływały panikę. 9 września portowy pluton OPL zestrzelił 1 samolot, który spadł na bagną.

Nadchodziły coraz gorsze wieści, bitwy obronne o zachodnią część kraju zostały przegrane, wróg 8 września był już pod Warszawą. Do Pińska napływali uciekinierzy, brakowało kwatery, coraz trudniej było o żywność.

Do Pińska przeniesiono centralne instytucje Marynarki Wojennej.

– 7 września z Bydgoszczy przybyła Szkoła Podchorążych MW z jej komendantem kmr. Tadeuszem Podjazd-Morgesternem. SPMW zakwaterowano w odległym o 11 km Horodyszczu. 11 września SPMW rozwiązano, podchorążych włą-

czono do batalionów marynarskich. Kmdr T. Morgenstern został II zastępcą dowódcy Flotyli (I od 1936 r. był kmdr por. Henryk Eibel), a od 16 września komendantem garnizonu Pińsk.

– 8 września przeniesiono z Warszawy do Pińska Komendę MW z jej szefem kontradm. Jerzym Świrskim. Zainstalowano ją w gimnazjum przy ul. T. Kościuszki. 12-14 września KMW udała się w kierunku granicy rumuńskiej.

Tak jak instytucje Marynarki Wojennej od 4 września z Warszawy ewakuowały się i inne urzędy.

– Prezydent i rząd RP do Lublin - Krzemieńca - Łucka.

– Naczelny wódz Wojska Polskiego do Brześcia.

Po zerwaniu łączności telegraficznej Brześcia z Warszawą radiostacja krótkofalowa Portu Wojennego w Pińsku była wykorzystywana przez naczelnego wodza, utrzymując łączność nawet z broniącymi się nadal, Warszawą i Helem. Sytuacja na froncie była dramatyczna, do Pińska ściągali rozbitkowie oddziałów frontowych i maruderzy, zbierani przez pińską Stację Zbórą.

9 września naczelny wódz przydzielił d-cy okręgu gen. bryg. Franciszkowi Kleebergowi zadanie stworzenia zapory dla wojsk niemieckich na linii Brześć – Kobryń – Pińsk – Łuniniec. 12 września Flotylla Rieczna MW przeszła pod dowództwo gen. F. Kleeberga, a 13 września dowództwo GO „Polesie” przeniosło się do Pińska na przedmieście Albrechtowo i straciło łączność z Naczelnym Dowództwem WP, które 11 września udało się z Brześcia do Kołomyi nad granicą rumuńską.

Udział Flotyli Riecznej MW w wojnie obronnej 1939 r. można podzielić na 2 etapy: od 1 do 16 września i od 17 września do 5 października. Do 17 września Flotylla sporadycznie walczyła z Luftwaffe i pełniła służbę porządkowo-ochronną w garnizonie Pińsk, a następnie przygotowywała się do obrony Polesia w ramach zadań GO „Polesie”. Flotylla rozśrodkowała swoje siły od Janowa Poleskiego do granicy sowieckiej i przygotowywała się do walki z Niemcami, do której jednak nie doszło, pomimo że jednostki pancerne gen. H. Guderiana 14 września zajęły Brześć i walczyły o twierdzę brzeską, a 16 września doszły do Kobrynia i zaistniało zagrożenie Pińska.

Data 17 września 1939 r. całkowicie zmieniła sytuację w obronie Polesia i zapoczątkowała zagładę pińskiej Flotyli Riecznej MW. O szczegółach agresji sowieckiej na Polskę światem 17 września 1939 r. wiele powszechnie wiadomo, jednak należy podkreślić, ile upokorzeń i cierpień przyniosła ona marynarzom pińskim.



Monitor „Pińsk”, z doczepionymi pływakami, w kamuflażu wojennym.

Przez 20 lat w warunkach stałego niedofinansowania, zapalem i poświęceniem, szczególnie przez ostatnie 12 lat pod dowództwem kmdr Witolda Zajączkowskiego, stworzyli oni prężną armadę o znacznej sile przebojowej i ogniowej (35 jednostek uzbrojonych o łącznej wyporności 1600 ton i 60 jednostek pomocniczych).

I to wszystko, na skutek agresji 17 września 1939 r., zmuszeni byli zniszczyć i zatopić własnymi rękami niemal bez walki, podczas gdy Ojczyzna była w śmiertelnym niebezpieczeństwie (jedynie Czesław Hołub w książce „Okręg Polski ZWZ-AK” na str. 21 podaje, że Flotylla Pińska zatopiła 17 września na Prypeci flagową jednostkę sowieckiej Flotyli Dnieprzańskiej, opancerzoną kanonierkę „Kijów”).

Kmdr W. Zajączkowski, jako żołnierz, wykonał rozkaz gen. F. Kleeberga i wydał 17 września rozkaz bojowy zniszczenia i zatopienia jednostek, chociaż rozkaz ten niszczył cały jego dorobek budowniczego Flotyli Riecznej MW w Pińsku.

Flotylla została podporządkowana dowództwu KOP, a marynarze po zatopieniu jednostek mieli rozkaz przedostać się na południe od Pińska, za Prypec do nowego miejsca postoju dowództwa Flotyli w Mroczej. Niedaleko przeniosły się też dowództwa KOP do Pohostu Zarzecznego i SGO „Polesie” do Lubieszowa.

W okolicach Pińska przerwano prace fortyfikacyjne, a wojsko, marynarze i policja przez most na Pinie w kierunku wsi Stetyczewo-Miestkowice etapami opuszczało miasto, udając się do miejsc postoju dowództwa. Oślaniały ich uzbrojone kanonierki rozmieszczone na odnodze Prypeci-Strumieniu i koło mostu ruchomego między wsiami Pleszczyce i Stetyczewo. Wysadzono położone za miastem składy amunicji.

20 września po południu w Pińsku z wojska pozostali tylko: komendant garnizonu - kmdr T. Morgenstern i kompania żołnierzy Obrony Narodowej, która starała się ze Strażą Obywatelską, stworzoną przez mieszkańców, zapobiec rozbijaniu i rabunkowi magazynów i sklepów.

20 września 1939 r. o zmroku Pińsk zajęli bez walki czerwonarmiści. Dopiero gdy czołgi wjechały na plac 3 Maja, ostrzelały będącą przy moście kompanię ON, która się rozproszyła, a część żołnierzy z kmdr. T. Morgensternem pobiegła przez most, za nimi ruszył czołg, a potem dwa następne. Pierwszy czołg przejechał most, a dwa pozostałe zostały zniszczone razem z zerwanym prześłem mostu. Pierwszy czołg ostrzeli-



Rozbity kościół św. Stanisława.



Rozbity sobór prawosławny.

wał się, ale też został zniszczony. Minerzy i ocaleni żołnierze ON z kmdr. T. Morgensternem dotarli nad ranem do Mroczej. Po wejściu do Pińska wojska sowieckie ostrzelały i spaliły dwie najpiękniejsze świątynie obu wyznań chrześcijańskich. Jezuicki kościół św. Stanisława, perłę architektury barokowej oraz niedaleki wspaniały sobór prawosławny. Istnieją rozbieżne wersje, co do powodów tego zniszczenia, ale nawet jeżeli strzelano z wież, to snajperów można było uciszyć w inny sposób. Ileż straciła panorama miasta, którą się szczycił Pińsk przez 300 lat!

Marynarze po zniszczeniu i zatopieniu jednostek w miejscach stacjonowania, często przebiegali się w polowe mundury, saperki i w różnych grupach przedzierali się z bronią do miejsca postoju dowództwa. Ich sytuacja była tragiczna, marynarz to słaby piechur, pogoda była słoneczna, saperki obcierały nogi i zapadały się w piaszczyste drogi. Trudno było o zarekwirowanie podwozy (chłopi chowali wozy i konie), byli ostrzeliwani przez oddziały i samoloty sowieckie, jak również przez dywersantów, szczególnie nacjonalistów ukraińskich. Marynarze po drodze zostawili wiele mogił kolegów.



Uroczyste odsłonięcie pomnika oficerów i podoficerów Flotyli zamordowanych w Mokranach. 1991 r.

Jednym ze szczególnie tragicznych epizodów tej wędrówki było rozbrojenie 23 września przez Sowieców około 300-osobowej, odpoczywającej grupy marynarzy. Oddzielono kadrę oficerską, którą następnego dnia rozstrzelano w miejscowości Mokran, zginęło 26 osób, oficerów i podoficerów.

Jak głębokim patriotyzmem odznaczał się pińscy marynarze, że pomimo tylu ciężkich doświadczeń szli z GO „Polesie” przez Włodawę na pomoc Warszawie. Doszli do Kocka, gdzie 2-5 października 1939 r. brali udział w bitwie z Niemcami, ostatniej bitwie tej wojny.

Polska w 1939 r. była skazana na klęskę, jednak przegrana nie oznaczała końca walki, ani kresu istnienia państwa. Około 50 pińskich oficerów i podoficerów Flotyli indywidualnie przedostało się do Francji i Anglii, gdzie dalej pod polską banderą walczyli na morzu u boku Royal Navy.

– Kmdr Witold Zajączkowski był w Devonport dowódcą okrętu „Gdynia” i komendantem zaokrętowanej na nim Szkoły Podchorążych MW. Zmarł w 1977 r. w Toronto.

– Kmdr por. Henryk Eibel też służył na „Gdyni”, a potem był dowódcą słynnego „Garlanda” z konwojów murmańskich.

– kmdr Tadeusz Podjazd-Morgenstern od 18 grudnia 1939 r. był attaché morskim ambasady polskiej w Sztokholmie.

Służyło też z nimi wielu marynarzy Flotyli Pińskiej, szczególnie po 1942 r. załogi polskich okrętów w Anglii były obsadzone przez marynarzy z Pińska, przekazanych na mocy układów z obozów w ZSRR. Należy również podkreślić, że pomimo iż II Rzeczpospolita dla Poleszuków i Białorusinów była nieraz macochą a nie matką, jako żołnierze walczyli dzielnie i z pełnym poświęceniem.

Agresja sowiecka 17 września 1939 r. była wsparta silną akcją propagandową. Radio Moskwa nadawało przemówienie Mołotowa do Ukraińców i Białorusinów, że wojska sowieckie idą wziąć ich pod opiekę. Rozrzucono ulotki nawołujące, aby kierować bronią przeciw oficerom i „polskim panom” jako „wrogom ludu”. Znajdowało to posłuch wśród biedoty, szczególnie wiejskiej i żydowskiej, przerażonej wcześniej zbliżaniem się Niemców. Uaktywnili się komuniści miejscowi i dywersanci, wykorzystywały też sytuację elementy przestępcze.

W Pińsku większych ekscesów nie było, gorzej na wsiach, gdzie stały dwory. Np. w niedalekim Mołodowie w majątku Skirmuntów, który był przekazany siostrze Urszulankom, a dożywało tam swoich dni troje starych ludzi – rodzeństwo Skirmuntów Henryk, Maria i Konstanty – sparaliżowany b. minister spraw zagranicznych i długoletni ambasador w Anglii. Henryka i Marię zabrano do gminy, do Motola, gdzie ich potem rozstrzelano. Konstantego wywiozły siostry Urszulanki z ks. Stanisławem Ryżko, który to opisał. Uciekli z przejeżdżającym oddziałem Wojska Polskiego i będącymi w majątku uchodźcami z centralnej Polski. Żołnierze też zachowali się okropnie, w odwecie podpalając strzechy kilku chat. Nie był to odosobniony przypadek, ale najczęściej występowały grabieże.

Propaganda sowiecka dotarła też do spokojnego chłostu Czwilcze. Zatrudniony u wujka nieco upośledzony chłopak z Bogdanówki zaczął mówić, że on już nie będzie parobkiem a panem i wlaż na drzewo, aby zobaczyć, czy idą sowieci, spadł i zwichnął nogę. Dlatego pierwszym skutkiem agresji sowieckiej było dla mnie to, że jako najstarsza z dzieci musiałam paść 2 krowy wujka i 1 kuzynki Heleny. Wychowywana w wiejszości na wsi nie bałam się krow, ale wolałam jeździć na dużym rowerze, gdyż właśnie tę umiejętność opanowałam. Nadmienię, że inny chłopak z tej Bogdanówki wykonał rower, cały z drewna i można było na nim jechać. Ten drewniany rower odkupiło w kwietniu 1938 r. Muzeum Poleskie z Pińska, gdzie stał jako eksponat.

W pierwszych dniach października dwoma furmankami z żywnością i przytroczoną krową ruszyliśmy do Pińska, babcia została z Heleną. Witka i furmankę z krową zostawiliśmy u Janka w Pińkowiczach.

Pierwszych czerwonarmiści zobaczyłam na ulicy wsi Wyszevicze, która prawie łączyła się z przedmieściem Albrechtowo. Wyglądali obco, szaro i biednie i te czapki z czerwoną gwiazdą i szpicem. Parter domu wujostwa, gdzie było kasyno, zajęli jacyś żołnierze sowieccy.

Pińsk wyglądał przynębiająco z zamkniętymi sklepami, a szczególnie w okolicy mostu z rozbitymi świątyniami i wiele okien nie miało jeszcze szyb po zerwaniu prześła mostu. Czerwonarmiści i czerwone flagi uświadamiały, że Pińsk już nie jest polskim miastem.

cdn.

Jadwiga Kolibabka



Wanda Sokołowska Juliusz Majerski

Gdy już zbiorę materiały, porozkładam fiszki, a biała kartka czeka niczym ślepy ekran na pierwsze obrazy związane z Juliuszem Majerskim i Wandą Sokołowską, które w jakimś porządku powinny ukazać temat, że tak się wyrażę, podstawowy, wszystko zaczyna się mieszać. Tragedia życia z anegdotą mało poważną, płytki felieton wypierać poczyna całą powagę materii, do tego dochodzi jeszcze widok za oknem, w które zerkam tak, jakoby tam była siła, która narzuci mi jakąś dyscyplinę i nie pozbawi poczucia niestosowności w mieszaniu przeróżnych wątków. Zawsze, gdy pragnę coś napisać o ludziach sztuki, malarzach, grafikach czy rzeźbiarzach, narzuca mi się architektura jako świątynia wszelkich sztuk. W ostatnich trzech latach za moim oknem zmienił się krajobraz lokalny. Z lewej strony w poprzek do ulicy Kilińskiego pozostała stara zblokowana fasada wielkiej płyty, na wprost wyrosła rozedrgana elewacja budynku mieszkalnego budownictwa komunalnego. Czekam na wiosnę z nadzieją, że na dwudziestu balkonach nie będą wystawiane stare pudła, rowery i zbędne graty, a te małe ogródki okwiecą się petuniami, pelargoniami, begoniami i surfiniami. Jakiś naszemu życiu zależy także od domów, w których żyjemy. Z prawej strony z suporeksu wyrosła w dwa miesiące, chyba tymczasowa, kaplica oo. Franciszkanów, skromna i uboga jak życie według reguły zakonnej. Teraz nocą wszystko jest białe, przykryte grubą pierzyną śniegu. Dziesięć samochodów wtulonych w swoje wyssepki ukryło także na tyle swój kształt, że nie sposób odczytać marki.

Jaki potężny skok zrobiło to miasto. Gdy zamieszkałem w moim bloku-walizce, ulica nazywała się Janka Krasickiego. Naprzeciw okien był drewniany domek-szopa winiarza, a do ulicy Botanicznej ciągnął się zdewastowany stok winnic. Teraz mieszkam w tym samym bloku, ale przy ulicy Ignacego Krasickiego, a stok po winnicach jest nie tylko zabudowany, ale wręcz zurbanizowany.

Pisząc ten tekst o Wandzie Sokołowskiej i Juliuszu Majerskim nadal poruszam się w krainie umarłych wokół kwitnącego życia. Wyciągam te trumny moich przyjaciół i znajomych z ulotnej pamięci wraz z refleksją, że niezwykle trudno oddzielić rzeczy wzniosłe od miałych, czyny godne od gestów marnych i tak już chyba będzie i tym razem, gdyż nie stać mnie na wzniosłą myśl, w której chciałbym „ocalić od zapomnienia” kolejnych twórców, którzy wpisali się w historię naszego miasta samotną

śmiercią, w opuszczeniu, bez przyjaciół, bez nadziei na trwałe ślad w życiu towarzyskim, dramatyczną życiową egzystencją.

W roku 1973 Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry i Lubuskie Towarzystwo Kultury wydało książkę Pana Mieczysława Turskiego „Takie to były czasy”. W rozdziale „Swoi artyści” czytamy, że pewnego dnia przy straganie Wincentego Buczkowskiego repatrianta z Wilna pojawiła się... „Wanda Sokołowska poszukująca narzędzi rzeźbiarskich wyrażająca także prośbę, aby sprzedawca zgromadził dla niej większą ilość gipsu i gliny”.

– *Sokołowska-Majerska Wanda. Rzeźbiarka, ur. 12 XII 1912 w Mamianach koło Wilna. W latach 1936-1939 studiowała w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie (Słownik artystów plastyków. Okręg warszawski ZPAP 1972).*

Otóż Pani Wanda „w Zielonej Górze – jak pisze autor książki „Takie to były czasy” – rozpoczynała tak zwaną karierę artystyczną. W karierze tej na początku znacznie więcej było cieni niż blasków. Po pierwsze „kompetentne czynniki” nie orientowały się „odnośnie jej zawodu”. Ówczesny wydział przemysłowy zwrócił się do Sokołowskiej z wezwaniem, aby zarejestrowała swój „zakład kamieniarski”, w tym celu powinna przedłożyć zezwolenie proboszcza ks. Michalskiego na stawianie pomników nagrobnych na miejscowym cmentarzu. Gdy rzeźbiarka wyjaśniła, że nie będzie produkować cmentarnych nagrobków, zażądano karty rzemieślniczej uprawniającej do prowadzenia „warsztatu ceramicznego”. Sprawę zawodu artystycznego wyświecił w długim uczonym wywodzie dopiero Müldner-Nieckowski, także osiadły w Zielonej Górze plastyk, rzeźbiarz i malarz w jednej osobie, który zapoznał się z Sokołowską przy straganie wilnianina i odwiedził jej pracownię (o Müldnerze-Nieckowskim pisałem w nr. 3 z 1999 r. w tymże czasopiśmie społeczno-historycznym – J.M.). Przy tym samym kramie oboje zawarli znajomość z trzecim w mieście zajmującym się sztuką Juliuszem Majerskim.

– *Majerski Juliusz (1908-1982). Grafik, malarz, rysownik związany z Poznaniem od ok. 1927 do 1939 r. oraz w okresie 1946-1947, w latach 1947-1962 mieszkał w Zielonej Górze, od 1946 roku w ZPAP okręgu poznańskiego. Urodził się 3 V 1908 r. w miejscowości Kałusz k. Stanisławowa, syn Kazimierza i Janiny z Kropiwnickich. Po ukończeniu gimnazjum we Lwowie przeniósł się do Poznania. W 1924 rozpoczął naukę w Państwowej Szkole Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego. W 1932 r. absolutorium na Wydziale Grafiki u prof. I. Wronickiego i K. Mondrała. We wrześniu 1947 r. osiadł się na stałe w Zielonej Górze, gdzie do 1948 r. był kierownikiem Referatu Kultury i Sztuki w Starostwie Powiatowym, a następnie pracownikiem Okręgowej Ubezpieczalni Społecznej (J. Mulczyński, Słownik grafików Poznania i Wielkopolski XX w., Poznań 1996).*

„Trójka ta rozpoczęła już w kilka miesięcy po wyzwoleniu skromną w początkach, lecz doniosłą działalność

artystyczną (wg cytowanego „Słownika” Juliusz Majerski przybył na stałe do Zielonej Góry w 1947 roku – J.M.).

Sokołowska rzeźbiła okolicznościowe medaliony, główki dziecięce, popiersie bawiącego na gościnnych występach Ludwika Solskiego, Nieckowski malował interesujące w kolorze pejzaże podmiejskie, Majerski tworzył cykl szkiców związanych z działalnością „Proletariatu” i życiem Waryńskiego. Tak przeszło kilka lat. W międzyczasie artystyczna para Sokołowska i Majerski stanęli na ślubnym kobiercu. Staram się dociec czegoś bliższego na temat tego związku. Pytam podczas posiedzenia zespołu redakcyjnego „Pionierów” w „Izbie Pamięci” w ratuszu Panią Przewodniczącą Komisji Historycznej Marię Gołębiowską, czy знаła to artystyczne małżeństwo.

– A jakże, z Wandą się dobrze znałam, Juliusza mniej sobie przypominam.

Wanda była kobietą towarzyską, mało kiedy opuszczała dobry nastrój, a przecież żyła w biedzie. Miała poczucie humoru trochę absurdałne. Przyjaźniła się taka nasza trójka: Wanda, Danka Klementowska – siostra wiceburmistrza i ja. Często zachodziłyśmy do Wandy. Mieszkała przy dzisiejszej ul. Sikorskiego (pierwotnie Szeroka 52 – J.M.). W domu też było biednie. Z czego miał żyć artysta w mieście, w którym należało dbać przede wszystkim o ciało. Dusza ma czas wieki. Może poczekać. Tak niestety odczuwała większość rozbitków. Kulturę tworzyła wąska grupa. Pewnego dnia znaleźliśmy Wandę patrzącą wyjątkowo ufnie w przyszłość, wręcz słoneczną. Oświadczyła z przekonaniem: „Będę bogata, już wkrótce będę miała dużo pieniędzy. Zrobię odlew głowy Lenina, a może i Stalina. To będzie masówka. Przy każdym odlewie coś poprawię, coś dołożę, aby był widoczny indywidualny gest – dłoń mistrza. Mam już pierwsze zamówienie. Z Bogiem się później rozliczę za ten grzech śmiertelny”. Tak nam Wanda oznajmiła patrząc pogodnie w zbliżające się dni. Ale niestety, nie stała się bogatą, jako że z tej masówki zrezygnowała. Może nie było zamówień?

Ja: – Czy mogę wykorzystać Pani wspomnienie podając źródło z nazwiskiem?

Pani Maria: – Niech pan pisze, że to są wspomnienia pionierki. Nie musi być nazwiska.

Wobec tego, szanując tę prośbę, podaję tylko, że jest to wspomnienie koleżanki z zaprzyjaźnioną rzeźbiarką, która podobnie jak ona tworzyła historię naszego miasta. Nie dotarłem do daty ślubu i rozvodu tej pary.

Mówi Leszek Kania: -Po rozstaniu się w 1952 r. z Juliuszem Majerskim Wanda Sokołowska przeniosła się do Warszawy.

Zbiory Wandy Sokołowskiej znajdują się w muzeach Poznania, Krakowa i w Muzeum Wolności w Kopenhadze. Bibliografia Juliusza Majerskiego obejmuje 40 pozycji i omawia dziesiątki jego prac.

Juliusz Majerski, który litografią, akwafortą i drzeworytem dał dowód na zainteresowanie sprawami ziemski-

mi, swoją lokalizacją, architekturą, zaułkami miasta, zielenią ogrodów, poprzez swoją grafikę artystyczną poświadczył także, że fascynowały go wręcz tajemnice kosmosu. W latach pięćdziesiątych parokrotnie wystawiał prace z cyklu „Wszechświat” w ekspozycjach ZPAP okręgu poznańskiego i przez długie lata kontynuował ten temat.

W roku 1965 rozpoczyna nowy cykl „Pejzaży kosmicznych” Kometa, Meteoryt I, Meteoryt II, Promienie kosmiczne itp.

Z ogromną powagą dyskutował chętnie na temat tych swoich cykli: Jaki będzie los wszechświata? Czy będzie się rozszerzał w nieskończoność? Jaka jest rola grawitacji? Galaktyki przecież się przyciągają, a nie odpychają. Czy kres wszechświata nastąpi, gdy wszystkie ciała niebieskie zaczną się do siebie przybliżać? O ile nie nastąpi taka faza, to znaczy, że przestrzeń ta będzie się rozszerzać wiecznie. Jak to pojąć? Jak to zrozumieć? Chciałbym dożyć czasu, gdy na te pytania odpowie nauka. Na te niepokojące i te dręczące mnie wątpliwości, odpowiadam poprzez sztukę. Jestem ciekawy jednakże, kiedy ostateczną odpowiedź zdefiniują astronomowie i fizycy?

Wypowiadając się na temat jego rysunków piórkami inspirowanych tajemnicą kosmosu napisałem, że koncepcja i praca włożona w dzieła nie da zapewne pełnej satysfakcji twórcy myśląc zarówno o dywagacjach jak i efekcie pracochłonnych grafik. To była niezręczność, z której nie umiałem się potem przed artystą wytłumaczyć jako, że omawiać miałem przecież dzieła sztuki, a nie pragnienie dotarcia do prawdy w świecie abstrakcji artystycznej i materii kosmicznej przez astronoma-amatora.

Opisać tedy powinienem to, co widzę na wystawie a nie to, co wiem na temat dylematów tajemnicy wszechświata od samego artysty. Dzisiaj wdzięczny jestem Eugeniuszowi Jakubaszkowi, byłemu dyrektorowi Muzeum w Zielonej Górze, za notę z „Salonu Jesiennego '74”:

„...Przed wszystkim chciałbym wyróżnić prace Juliusza Majerskiego, będące niejako kontynuacją jego wcześniejszych poszukiwań artystycznych, głównie w dziedzinie grafiki i rysunku. Prace te nazwane kompozycjami form, wyróżniają się harmonią kolorów, ekspresją kompozycji, a także wysoką kulturą warsztatu twórczego. Ich działanie podobne do działania muzyki, nie pozwala odbiorcy na żywienie w sobie uczucia obojętności czy zniechęcenia. Atakują go, niepokoją swoją ekspresją, każą mu się zatrzymać i zastanowić nad sensem otaczającego nas świata...”

Ten fragment trzeba wzbogacić jeszcze jedną uwagą Eugeniusza Jakubaszka:

„...Do wystawy zgłosiło się ponad 30 autorów... Wśród wystawiających swe prace bardzo korzystnie zaprezentowali się pionierzy tego środowiska – Juliusz Majerski i Stefan Stocki. Artyści, nie opuszczający żadnej okazji dla przedstawienia swojego dorobku, dali na tę wystawę prace nowe, powstałe w czasie ostatnich kilku miesięcy. Słu-

szą więc była decyzja jury honorująca obydwu autorów cennymi wyróżnieniami”.

Z cytowanego już uprzednio „Słownika” przepisuję:

„...Z powodu złego stanu zdrowia, niezdolny do samodzielnej egzystencji (Juliusz Majerski – J.M.) w dniu 6 II 1962 r. zamieszkał w Domu Pomocy Społecznej w Jordanowie k. Świebodzina, gdzie zmarł dnia 16 XII 1982 r.”
Boże Ty mój! Dwadzieścia lat!

W połowie lat siedemdziesiątych dr Stanisław Kowalski wojewódzki konserwator zabytków wracał autobusem z Łagowa do Zielonej Góry. Na trasie dosiadł się Juliusz Majerski ze skrzyneczką i sztalugą. Mimo iż w Zielonej Górze znali się dosyć oficjalnie, Pan Juliusz z wielką radością dosiadł do znajomego z widzenia „i potraktował mnie wręcz jak rodzzonego brata” – wspomina Staszek.

– Opowiadał mi z zadowoleniem o licznych swoich wycieczkach w plener, zachwycił się krajobrazem, słowem zrobił na mnie wrażenie człowieka szczęśliwego. Ponieważ gorąco mnie zapraszał do Jordanowa, przy jakiejś okazji złożyłem mu wizytę. Cały swój dorobek przechowywał w małym pokoju, który miał do swojej dyspozycji. Najbardziej dokuczliwy wydał mu się brak dyskusji o sztuce i brak możliwości porozumienia z otoczeniem. Wreszcie wyznał: Czuję się bardzo samotny, nie przypuszczałem, że tylko na taki los sobie zasłużyłem. Mogę powtórzyć za Cézannem: „Osamotnienie – oto czego jestem wart!”

Życie Juliusza Majerskiego rzeczywiście nie rozpieściło. Należał do pokolenia szczególnie udręczonego przez czas. W 1939 roku został wysiedlony z Poznania do Częstochowy. Stracił swój dorobek twórczy po raz pierwszy. W roku 1944 został aresztowany i wywieziony

do obozu pracy w Szczecinie. Stracił swój dorobek artystyczny po raz drugi. Leszek Kania zanim jeszcze został pracownikiem muzeum, na przełomie lat 70./80. odwoził do Jordanowa prace pozostawione przez artystę w Biurze Wystaw Artystycznych w Zielonej Górze. Leszek Kania był wówczas pracownikiem tej instytucji.

– Pamiętam ten wyjazd. Zastałem Pana Juliusza w bardzo kiepskiej kondycji. Był przykuty do łóżka. Kontakt był już utrudniony. Odniosłem wrażenie, że spotkałem człowieka bardzo, bardzo starego. Przekroczył wówczas zaledwie granicę siedemdziesięciu lat i przedwcześnie się tak zestarzał.

„W Domu Pomocy Społecznej w Jordanowie (Juliusz Majerski – J.M.) nie pozostawił żadnych prac graficznych i rysunkowych” – informuje „Słownik grafików Poznania i Wielkopolski”.

Leszek Kania, jak przypomina sobie, odwiedził prac olejnych do Jordanowa kilkanaście. Czyżby po raz trzeci dorobek Juliusza Majerskiego został zaprzepaszczony?

Wielki Leonardo twierdził: „Bóg kocha malarstwo i kocha tego, kto je kocha”. W kosmicznym porządku wszechrzeczy nasz układ słoneczny pomieszczony został pomiędzy Ramionami Krzyża i Oriona. Może duch Pana Juliusza, pragnący zgłębić tajemnice kosmosu, jako pyłek krąży gdzieś uzyskując wreszcie odpowiedź na dręczące go pytania. Mam wrażenie, że życie go przyzwyczaiło, aby był bliżej Ramion Krzyża niż Oriona, mimo że właśnie ten mit astralny dostarczał wielu wzruszeń poetom i muzykom, a wśród twórców dzieł plastycznych nie pominął w szczerym i bogatym obdarzaniu twórczym cierpieniem także autora cyklu „Wszechświat”.

Jan Muszyński

HABITAT

Habitat – ludzkie gniazdo – gniazdowisko ludzkiej społeczności, przestrzeń zorganizowana podlegająca prawom koegzystencji. Obszar działania jednostki, rodziny, zbiorowiska ludzi.

Nasze miasto – od hasła Grünberg do określenia Zielona Góra – od niewiele znaczącego miasteczka na peryferiach Śląska do wojewódzkiej, lubuskiej metropolii. Co wyniesione z przeszłości cieszy dziś, co wniesione przez teraźniejszość raduje lub wywołuje odruch polemiczny dziś albo może taki odruch wywołać jutro.

Ludzie przybyli tu w latach czterdziestych mogli ewokować takie porównania: Warszawa, Głogów po-

niósł olbrzymie straty nie tylko w substancji mieszkalnej, ale także w drzewostanie, przyroda tych miast została zniszczona towarem wojny. Przez nasze miasto front przetoczył się dość spokojnie, tylko tu i ówdzie pozostały rowy przeciwczołgowe, dziś pokryte starszą i młodszą roślinnością. Pozostały solidne domy mieszczańskie, fabryki, kościoły, ratusz, pozostały mniejsze i większe skupiska drzew (niekiedy prawdziwie cenne, rzadkie okazy), owocowych sadów (wzbogacanych nieznanych nam wcześniej brzoskwiniami czy morelami), winnic na nasłonecznionych stokach, ozdobnych krzewów i ogrodów. Mikroklimatyczna nisza, w której

się schowało miasto, ma w tle rozległe tereny leśne spływające ze stoków wzniesień zamykających dolinę od wschodu, południa i zachodu. Przy tych niewątpliwych walorach daje się odczuć brak wody – odrzańskie koryto łukiem omija miasto, długi pas malowniczych jezior oddalony jest o kilka dziesiątków kilometrów. Mieszkańcy z wiadomymi skutkami odczuwają brak jodu. W tej, szkicowo nakreślonej scenarii, rozgrywa się w ostatnim półwieczu proces przetwarzania się małego skupiska ludzkiego w duży organizm zurbanizowany.

Znaczna większość tego okresu, to czas tzw. nakazowej gospodarki planowej, to czas wielkiej płyty, czas betonowych noclegowisk. Przy powszechnym braku mieszkań, wszystko co zbudowano, musiało być dobre. Ale obywatele miasta, mający nawyk postrzegania i analizowania, rychło mogli stwierdzić, że między zastanym a nowym brak korelacji, brak elementów wiążących to i tamto w jednolitą całość, zwaną Zieloną Górą. Z drugiej strony dawna część miasta została w pewnym sensie pozostawiona samej sobie, a bieżące, wyrwykowe ingerencje, nie prowadziły do właściwie rozumianej sanacji. Obrastanie struktur mieszkalnych slumsowymi naroślami komórek, szop czy prowizorycznych garaży oraz kiosków i sklepików, stało się trwałą realizacją i mówiąc szczerze, nigdy dotychczas nie wypowiedziano wojny temu zjawisku.

W budownictwie wielkopłytowym nie opanowano technologii estetycznego łączenia płyt oraz uszlachetniania ich powierzchni zewnętrznych. Od kilku lat jako zasadę przyjęto projektowanie kolorystyki w pracowniach architektów. W rezultacie doszło do ryzykownych „zestawień” nowych realizacji z zastanym otoczeniem. W latach dziewięćdziesiątych powstały liczne firmy oferujące usługi plastyczne, a nie posiadające profesjonalnych kwalifikacji artystycznych. Rezultaty ich działań nie są poddane ocenie kompetentnych specjalistów (np. rzeczoznawców do spraw plastyki współczesnej Ministerstwa Kultury i Sztuki, członków Lubuskiego Okręgu ZPAP). Widać tu wyraźnie brak odpowiednich unormowań prawnych czy uchwał władz terenowych. Nie istnieją plany miejsc szczególnie chronionych ze względu na ich „naturalne” walory artystyczne. Proporcje udziału terenów zielonych w obszarze miejskiej zabudowy zmieniają się na niekorzyść „zielonych płuc miasta”. Miejsca dające możliwość nowych nasadzeń zostają coraz częściej oddawane pod zabudowę (nawet dla stacji benzynowych).

Obserwowana ostatnimi czasy inwazja tzw. bilbordów wyraźnie zmienia oblicze miasta. Śmiem twierdzić, że w większości wypadków na niekorzyść. Dlaczego? Otóż „bilbord” ze względu na swoją dość dużą powierzchnię winien być szczególnie dobrze zaprojektowany (w pierwszym rzędzie walory dekoracyjne a nie informacyjne), po drugie – odpowiedzialnie usytuowany, po trzecie – nie może być multiplikowany w obszarze

rze ulicy, placu czy sektora ulic, aby nie stał się elementem pierwszorzędnej wagi.

Mógłbym tu przytoczyć, negatywne oczywiście, przykłady sytuowania tych reklamowych płaszczyzn w malowniczych ogrodach, pośród cennego starodrzewu. Mógłbym zwrócić uwagę na ucieczkę „projektantów” od dekoracyjnych wartości na korzyść nadmiaru informacji tekstowej (plansze, szyldy, a szczególnie burty autobusów komunikacji miejskiej). Całkowicie znikło używanie do celów reklamowych architektonicznych elementów wolno stojących, które same w sobie (np. bez aktualnej warstwy informacyjnej) mogą być ozdobą otoczenia. Zamiast tego śródmiejskie elewacje „uginają się”, giną pod mnogością informacyjnych, większych i mniejszych prostokątów. Czy jest to niezbędny symptom wielkomiejskości? Nie sądzę. W szanujących się miastach tzw. Zachodu, udział reklam w zespole wielkomiejskim jest poddawany surowym rygorom. Nie ma w tym względzie spontaniczności ani chęci uzyskania dochodów przez władze miasta. Zapewne po części dlatego spacer po tak wielkich miastach, jak Londyn, Kopenhaga, Lizbona czy Wiedeń pozostawia niezatarte wrażenie. Ale i tu, w Zielonej Górze, istnieje dość rozpowszechnione przekonanie o niekwestionowanej urodzie naszego miasta. I na pewno nie chodzi mi o podważanie tego przekonania, usiłuję raczej podejmować starania o to, aby ta opinia była ze wszech miar uzasadniona. Wiele polskich miast, wielkością porównywalnych z naszym grodem, czyni w ostatnim dziesięcioleciu poważne wysiłki, aby podnieść ich urodę, wyeksponować istniejące naturalne walory. Tworzy się nowe place, skwery, parki botaniczne i zoologiczne ogrody. Widać starania o uzyskanie indywidualnego oblicza w konkurencji z innymi zespołami miejskimi.

Nas obowiązują takie dążenia, takie ambicje także. Nie można popadać w samozadowolenie. Myślę, że w działalności budowlanej w obszarze śródmieścia inwestor nie powinien narzucać władzom urbanistycznym i projektantom swoich zbyt daleko idących preferencji, a z drugiej strony gospodarze miasta winni stosować zasadę, że nie wszystko jest do sprzedania, wydzierżawienia, zabudowania. Czy trzeba tu wymienić przykłady nieszczęśliwych rozwiązań tzw. plomb w obszarze śródmieścia? Znamy wypowiedzi kompetentnych ludzi z zewnątrz (także z zagranicy), którzy komplementując zauważalne, niezaprzeczalne walory miasta wskazują jednocześnie te niefortunne ingerencje w istniejącą starą zabudowę. Czyńmy więc usilne starania, aby wizualnie nasze miasto było jednością w harmonijnej, różnorodnej formie i kolorze całości.

A w kolejnym odcinku o sprawach szczególnie wartych dokładniejszego spojrzenia (z użyciem ilustracji porównawczych w sensie dodatnim i ujemnym).

Witold Nowicki

Historię Hufca od 1945 do 1956 roku omówił w poprzednim numerze hm. Wiesław Cieśla. Niniejszy tekst dotyczy dalszego ciągu historii zielonogórskich harcerzy do chwili obecnej.

Zielonogórski Hufiec Harcerzy w latach 1945-1999

Okres blisko 55 lat harcerstwa w Zielonej Górze to czas szczególnie bogaty w wydarzenia. Z kronikarskiego punktu widzenia należałoby odnotować wszelkie zmiany ilościowe drużyn i szczeptów, nazwiska komendantów, drużynowych, ilość akcji obozowych i nieobozowych oraz wielu innych charakterystycznych wydarzeń.

Tworząc monografię Zielonogórskiego Hufca konieczna byłaby np. analiza poszczególnych zjawisk, szukanie i próba wyjaśnienia przyczyn wzlotów i upadków, zachowanie chronologii wydarzeń, ocena działalności Rady Przyjaciół Harcerstwa itd. Mając powyższe na uwadze postanowiłem dokonać ogólnego zarysu minionego okresu. Dlatego też przepraszam tych, którzy nie znajdą w publikacji ważnych dla siebie wydarzeń, faktów historycznych, nazwisk lub liczb.

* * *

Omawiany okres można by umownie podzielić na kilka etapów, z których najistotniejszymi wydają się lata po Łódzkim Zjeździe Działaczy Harcerskich w 1956 r. do roku 1973 – kiedy to powstała Federacja Związków Młodzieży Polskiej. Kolejny etap zamknąłby VII Zjazd ZHP oraz obchodami 70-lecia harcerstwa, aby przejść do sierpnia roku 1995, którego najistotniejszym wyznacznikiem był Światowy Zlot Harcerstwa Polskiego.

Cały ten okres, bez względu na sytuację społeczną i polityczną państwa, charakteryzuje się kontynuacją wypracowanych przez lata form pracy z dziećmi i młodzieżą, związkiem z historią, czerpaniem z bogatej tradycji harcerstwa, poszukiwaniem własnych dróg i obroną tożsamości.

W pierwszych powojennych latach Hufcem kierowali phm. Warchoń (Zdzisław?), a następnie ćwik Tadeusz Świątała, później przez krótki okres phm. Tomicki. Od jesieni 1946 r. hufcowym został HR Janusz Szymański. W październiku 1947 r. funkcję tę objął Tadeusz Krajewski, pełniąc ją do października 1949 r.

Lata bezpośrednio po wojnie cechował ogromny entuzjazm, który szczególnie objął tereny odzyskane. Wszędzie odradzało się normalne życie. Harcerki i harcerze realizowali zadania ukryte pod kryptonimem „Ziemie powracające”, szczególną uwagę zwracając na ożywienie życia oświatowego i kulturalnego na terenach przygranicznych. Nowo zorganizowane zielonogórskie drużyny uczestniczyły w akcji programowej „Ziemia Lubuska” zaini-

cjowanej przez Chorągiew Wielkopolską. Młodzież podczas obozów letnich w latach 1946-49 pomagała w żniwach, prowadziła szkoleniową akcję letnią, wypoczywała, poznawała historię, folklor i tradycje ziem odzyskanych. Organizowano różnorodne gry terenowe, kursy kadry instruktorskiej, zawody sportowe.

Odbýwały się obozy letnie – między innymi w Kudowie Zdroju (rok 1949) oraz nad jeziorami wielkopolskimi (już od 1947 roku). Sytuacja polityczna, charakteryzująca się od roku 1950 początkiem „zimnej wojny”, stworzyła również izolację polityczną polskiej młodzieży. Już w połowie roku zabroniono noszenia mundurów i odznak organizacyjnych ZHP. Związek, jako samodzielna organizacja, przestał istnieć. Wyodrębniono organizację harcerską w ramach Związku Młodzieży Polskiej. Wzorowała się ona w swej strukturze na programie i metodach pracy organizacji pionierskiej w Związku Radzieckim. W jej szeregach skupiono młodzież w wieku 9-14 lat.

*

Od końca sierpnia 1956 roku, w ramach ZHP, powołano Organizację Harcerską Polski Ludowej. Zagwarantowano jej dość szeroką autonomię.

OHPL po niespełna 4 miesiącach zakończyła swoją działalność. Instruktorzy harcerscy przygotowali Łódzki Zjazd Działaczy Harcerskich. Zjazd, który odbywał się w dniach 8-10 grudnia 1956 r., był przełomowym wydarzeniem w Związku.

Po ponad 6 latach działalności w strukturach organizacyjnych ZHP harcerstwo uzyskało niezależność. Powstał obecny Związek Harcerstwa Polskiego. Zjazd w Łodzi uznany został za I-wszy Zjazd ZHP. Uchwalono na nim deklarację ideową Związku, podjęto decyzje organizacyjne i statutowe.

Kolejnym komendantem Hufca został phm. Zbigniew Głowski, przekazując tę funkcję w połowie roku 1957 druhowi phm. Włodzimierzowi Maciejowskiemu, który pełnił ją do roku 1959.

Po nim komendantem został mianowany dh hm. Benedykt Piekarski, sprawujący obowiązki do grudnia 1959 r.

W ocenie Komendy Hufiec nie przejawiał większej inicjatywy, jego autorytet wśród społeczeństwa był mały. Uwagi dotyczyły organizacji wypoczynku, małej liczebności drużyn oraz przygotowania kadry. Winą za zaistniały stan obarczano hufcowego. W połowie grudnia 1959 r.

pełnienie obowiązków komendanta Hufca powierzono dh. hm. Wiesławowi Cieśli.

Był to rok II Zjazdu ZHP, na którym uchwalono nowy statut, określono program w ramach socjalistycznych związków młodzieży polskiej. Młodzież Hufca uczestniczyła w Harcerskiej Akcji Letniej Młodzieży Starszej, realizowała ogólnozwiązkowe akcje „Jesień przyjaźni”, „Naukowa zima”.

W Hufcu podjęto szereg działań przygotowujących harcerzy do udziału w centralnych obchodach 1000-lecia państwa. 50-osobowa drużyna reprezentacyjna Hufca ze szczeptu „Grunwald” uczestniczyła w zlocie na Polach Grunwaldzkich.

W ramach Harcerskiej Służby Ziemi Lubuskiej organizowano stanice nieobozowego lata, prowadzono akcje popularyzujące region. Młodzież starsza, wędrując po szlakach upamiętniających 1000-letnią historię Polski, uczestniczyła w ogólnopolskim zadaniu „MILTROP”.

Hufiec został wyróżniony za udział w przygotowaniu akcji letniej HALA-60. Odbył się zlot drużyn nieobozowego lata. Rozwinęła się działalność techniczna w drużynach starszoharcerskich w ramach Harcerskiego Ośrodka Technicznego.

Z analizy inwentaryzacji Hufca wynika, że w posiadaniu HOT były wówczas dwa samochody GAZ-67, motocykl WFM oraz przyznane „Makusynom” 3 samochody osobowe „SKODA”.

23 marca 1960 r. obradował II Zjazd Zielonogórskiej Chorągwi. W skład nowej Komendy wszedł komendant Hufca dh hm. Wiesław Cieśla. Rozwinięto działalność pozazwiązkową, powierzając dh. Zb. Czarnuchowi obowiązki instruktora ds. współpracy z młodzieżą niezorganizowaną.

Najbardziej znany w tych latach w Zielonej Górze był szccept harcerski „Makusyni”, realizujący niebanalny, odmienny od innych program wychowawczy. Pod kierunkiem dh. Z. Czarnucha młodzież bawiła się w cyrk, zarobkowała na wycieczki i biwaki, budowała kosmodrom, występowała ze swoim programem na ulicach i podwórkach. Podczas wakacji w 1963 r. grupa „Makusynów” spędziła cały miesiąc na Krymie, w słynnym miasteczku pionierskim Artek, zwiedziła również Moskwę i Sewastopol.

Jednym z przodujących w Hufcu był szccept „Grunwald”, pracujący od 1957 roku pod kierunkiem dh. phm. Henryka Zborowskiego. Druhny i druhowie z tego szczeptu wyróżnili się wieloma akcjami i czynami społecznymi. Za odremontowanie Wieży Głodowej szccept otrzymał I Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki. Harcerze szczeptu byli również prekursorami w Polsce Poczty Harcerskiej.

Inny ze szczeptów zielonogórskich „Komandosi” zasłynął, na początku lat 60-tych, z chóru harcerskiego prowadzonego przez dh. Paszaka. O poziomie zespołu świadczyły jego występy w radiu i wspólne koncerty z Zielonogórską Orkiestrą Symfoniczną. Szccept działał przy szkole podstawowej przy ul. Zamenhofs. Współpracował z Zielonogórskim Aeroklubem szkoląc „pełnomocników komi-

sarzy lotniczych”. Wśród szczeptów starszoharcerskich prym wiodą „Korczakowcy”. Szccept powstał na początku lat 60-tych i pod wodzą dh. hm. Jerzego Zgodzińskiego realizował program wychowawczy oparty na nauce patrona szczeptu Janusza Korczaka. 40 harcerzy szczeptu uczestniczyło w Międzynarodowej Akcji Letniej „MAL-TA'62” przebiegającej pod hasłem „Przyjaźń”.

Według spisu harcerskiego z połowy 1962 r. zorganizowanie w Hufcu osiągnęło 18%. Stan ten nie zadowalał jednak, bowiem był poniżej średniej chorągwiowej.

Hufiec podjął szereg zadań związanych z poszerzeniem kręgu harcerzy, Związek zaś przygotował się do kolejnego III Zjazdu. Odbywały się wybory delegatów, instruktorzy zielonogórscy wybrali na Zjazd delegata dh. Jerzego Zgodzińskiego oraz uczestnika Zjazdu dh. Reginę Szukowską. Zjazd obradował 4, 5 i 6 kwietnia 1964 r. Dwa miesiące później odbył się w Słubicach II Chorągwi Zlot Drużyn Przygranicznych, w którym uczestniczyli również harcerze zielonogórscy.

Na początku 1965 roku, w przeddzień konferencji sprawozdawczo-wyborczej, Hufiec Zielonogórski liczył 3.349 zuchów, harcerzy i instruktorów zrzeszonych w 73 drużynach harcerskich i 32 zuchowych. Funkcje instruktorskie pełniło 137 osób, w tym 43 nauczycieli. Ponad 300 osób ukończyło kursy szkoleniowe. W roku 1964 Hufiec zorganizował akcję letnią w szczeptach i łączonych drużynach. Odbyło się 6 takich obozów, w których uczestniczyło 857 harcerzy. Można stwierdzić, że do kampanii wyborczej Hufiec przystąpił dobrze przygotowany, w niezłej kondycji organizacyjnej. 7 lutego 1965 r. odbyła się w Hufcu konferencja sprawozdawczo-wyborcza, na której delegaci wybrali nowego komendanta-dh. hm. Gracjana Stasiłowicza, szczeptowego „Włóczęgów”. Pełnił on swoją funkcję do 30 stycznia 1966 r. Komenda Chorągwi Zielonogórskiej w roku 1966 podjęła akcję LABOT (Lubuska Akcja Baz Obozowo-Turystycznych), do której włączył się również Hufiec Zielona Góra. Wiele szczeptów o własnej bazie myślało już znacznie wcześniej.

Zielonogórscy „Makusyni” zamierzali o pałacu. Na harcerską bazę wybrali ruiny XVII-wiecznego zamczyska w Siedlisku, niedaleko Nowej Soli. Pierwszy obóz zorganizowano w zamku w 1964 roku. Od tego czasu rocznie odbywały się pracowite wakacje „Makusynów” w nowej siedzibie. Odrestaurowano część zamczyska, tzw. dom bramny. Finansowo zamiar harcerzy wspomógł wojewódzki konserwator.

Cztery lata później, latem 1968 r., własną bazę zaczęli budować „Korczakowcy”. Akcja „Nasz dom” zrealizowana została nad pięknym jeziorem Grzybno, niedaleko Świńniar. Miejsce to harcerze ze szczeptu nazwali „Korczakowem”. Tutaj do chwili obecnej odbywają się letnie spotkania młodzieży z Zespołu Szkół Samochodowych podczas kolejnych akcji „Naszego domu”.

W połowie lat 60-tych aktywnie działał Harcerski Ośrodek Techniczny w Zielonej Górze. Łącznościowcy posługujący się kryptonimem SP3 ZHC nawiązali ponad 300

kontaktów z krótkofalowcami na wszystkich prawie kontynentach. We wrześniu 1964 r. harcerze uruchomili na Wzgórzach Piastowskich pierwszą w województwie radiostację UKF i rozpoczęli nadawanie na paśmie 144 MHz.

Powstają liczne nowe drużyny i szczepy. Na zlocie Zielonogórskiego Hufca na polanie pod Ochłą spotkało się latem 1966 roku 500 harcerów i harcerzy. Wśród najlepszych w zlotowych konkurencjach znalazły się nowe szczepy: „Wichura”, szczep im. Oskara Langego z Liceum Ekonomicznego, drużyna im. Janusza Kusocińskiego, a także wysoko notowani „Makusyni” i „Korczakowcy”.

Po rezygnacji z funkcji dh. Gracjana Stasiłowicza nowym komendantem Hufca od 1 lutego 1966 r. został dh Karol Żurawowicz. Jesienią 1966 roku, podczas tradycyjnie obchodzonych Dni Zielonej Góry, Zielonogórski Hufiec otrzymał sztandar ufundowany przez władze miasta i powiatu. Uroczystość odbyła się na placu pod Pomnikiem Wdzięczności. Wieczorem harcerze zaprosili mieszkańców miasta na wspólną zabawę do Miasteczka Ruchu Drogowego przy ul. Wyspiańskiego i na koncerty do Amfiteatru. Kilka dni potem odbyła się inna miła uroczystość. Szczep „Korczakowcy” otrzymał sztandar i Odznakę Tysiąclecia przyznaną przez Ogólnopolski Komitet Frontu Jedności Narodu. W spotkaniu uczestniczyły wszystkie zielonogórskie szczepy, między innymi: „Grunwald”, „Wichura”, „Piaś”, „Czarne stopy”, szczep im. Ludwiki Wawrzyńskiej, „Makusyni”, szczep im. Janusza Kusocińskiego i im. Oskara Langego. Na uroczystość przybyła również delegacja zaprzyjaźnionego z „Korczakowcami” statku s/s Zieleni Góra.

Na początku 1967 r. rozpoczęła się w Hufcu kampania sprawozdawczo-wyborcza. Podczas wyborów 9 kwietnia 1967 roku komendantem Hufca został ponownie dh Karol Żurawowicz. Pełnił swoją funkcję jeszcze przez 4 miesiące, bowiem 1 lipca tego roku rządy w Hufcu objął dh Tadeusz Kopczyński.

We wrześniu 1967 r. najpopularniejszy w Zielonej Górze szczep „Makusyni” obchodził swoje 10-lecie. Harcerze podjęli w tym dniu nowe zadanie, które nazwali „Kronaro” – Kronika Naszej Rodziny.

Szczep otrzymał Odznakę Tysiąclecia. Sceniczne triumfy święcił teatrzyk „Cudaki”, który oprócz występów telewizyjnych doczekał się własnej książki napisanej przez byłego Makusyna Wiesława Hudonia pt. „O rety, Cudaki”. W tym czasie uaktywniły się Studenckie Kręgi Instruktorskie przy Studium Nauczycielskim w Zielonej Górze, działające od końca 1962 r. oraz Wojskowe Kręgi Instruktorskie. Również na początku roku 1967 Komenda Chorągwi podjęła decyzję o budowie „Domu Harcerza” w Zielonej Górze.

Kolejna konferencja sprawozdawczo-wyborcza Hufca w dniu 23 lutego 1969 r. ponownie wybrała na funkcję komendanta dh. Tadeusza Kopczyńskiego. Po rezygnacji z funkcji od 1 listopada 1969 r. obowiązki komendanta powierzono dh. Krysianowi Kidawie. Od 1 stycznia na-

stępno roku komendantem Hufca wybrany zostaje dh Stanisław Lewandowski.

22 lipca 1969 r. w Perkozie k. Olsztynka odbył się Ogólnopolski Zlot Młodzieżowych Kręgów Instruktorskich. W zlocie uczestniczył Krąg im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego z Zielonej Góry oraz wszyscy przewodniczący MKI. Jednym z najprężniej działających szczepów stał się „Wichura” działająca przy SP nr 4. Harcerze z tego szczepu w nagrodę w sierpniu 1969 r. wyjechali do Witebska, gdzie uczestniczyli w obozowej akcji międzynarodowej. „Makusyni” z kolei goszczą w swojej bazie w Siedlisku rówieśników z Białorusi oraz z Frankfurtu n. Odrą.

W Hufcu aktywizują swoją działalność referaty: zuchowy, harcerski i starszoharcerski. Organizowane są szkolenia małej kadry, kształcenie drużynowych i przewodniczących kręgów. Harcerze podejmują zadania z cyklu „Nasze miasto”. Kolejne wyróżnienie otrzymują „Korczakowcy”. 26 września 1969 r. Główna Kwatera ZHP przyznaje im zbiorową odznakę „Za Zasługi dla ZHP”.

Bardzo aktywnie pod koniec lat 60. działają: Ośrodek Drużyn im. Ludwika Zamenhafa, szczep „Piaś” przy SP nr 12, „Promieniści” przy SP nr 14, „Korczakowcy”, „Włóczędzy”, „Makusyni”, szczep im. Ludwiki Wawrzyńskiej, „Komandosi”, szczep „Grunwald”, „Wichura”, Kopernikanie, Młodzieżowe Kręgi Instruktorskie, m.in. w Zasadniczej Szkole Budowlanej. Zielonogórskie Kręgi uczestniczą w kolejnych Turniejach Młodzieżowych Kręgów Instruktorskich. Rozwija się działalność kulturalna w drużynach. Organizowane są od kwietnia 1968 r. Hufcowe Festiwale Piosenki Harcerskiej. Zielonogórcy harcerze uczestniczą w kolejnych alertach naczelnika ZHP, chorągwiowych zlotach, rajdach „Szlakiem Strażnic WOP”. Druh Stanisław Lewandowski rządzi Hufcem do czerwca 1972 r.

Od 3 czerwca komendantem Hufca zostaje wybrany dh Marek Musielak. Odbywają się Ogólnopolskie Zloty Młodzieży, w których uczestniczą zielonogórcy harcerze. Pierwszy odbył się w Katowicach w 1971 r., kolejne w Łodzi i Krakowie. Drużyny techniczne odbywają swoje manewry sprawnościowe. Podczas II manewrów zorganizowanych w Łochowicach k. Krosna Odrzańskiego w 1970 r. reprezentacja chorągwiowa zajmuje I miejsce. W skład zwycięskiej grupy wchodzi m.in. drużyna z Liceum Medycznego w Zielonej Górze, które zajęły w manewrach II miejsce w kraju. Hufiec Zielonogórski uzyskał najwyższe wyniki w wychowaniu techniczno-obronnym. Ważnym wydarzeniem w życiu Hufca jest nadanie zielonogórskim harcerzom imienia „Pionierów Ziemi Lubuskiej”. Uroczystość połączona z IV Zlotem Drużyn odbyła się w dniach „Harcerskiego Startu” 17 i 18 września 1972 r. W Zlocie współzawodniczyły wszystkie szczepy Hufca. Najlepsi okazali się „Kopernikanie” z SP nr 17 kierowani przez dh. Zbigniewa Szelucha. Szczep ten obchodził także 10-lecie istnienia. Z tej okazji „Kopernikanie” otrzymali sztandar.

hm Marek Musielak



O praktycznych pożytkach z lipy

Z wielkim sentymentem wspominam stare, dobre studenckie czasy, kiedy to z kumplami piło się wino na świeżym powietrzu (skromne środki nie pozwalały na szaleństwa!) w cieniu wielkiego drzewa i gawędziło o tematach dotyczących zarówno drobiazgów jak i głęboko filozoficznych. Czysta przyjemność. Każdy ma podobne wspomnienia z różnych okresów życia. Ale czy jest to możliwe teraz? Choćby w naszym mieście. Oczami wyobraźni widzę: zielony ogródek na świeżym powietrzu, na peryferiach miasta, z interesującymi cenami a jednocześnie spokojne miejsce dla ludzi w różnym wieku. Coś takiego było w naszym mieście przed wojną. To znany wszystkim Wągmostaw (*Luisental*) – nieczynna już dziś restauracja słynąca w dawniejszych czasach z potraw rybnych i wina.

To właśnie w tej okolicy niedaleko Wągmostawu znajdowały się znane w mieście pomniki przyrody – dwie ogromne lipy rosnące według starych rejestrów przy ówczesnej ulicy *Patzgall* nr 6 (obecnie Urszuli). Niestety współczesne poszukiwania tych drzew nie przyniosły pozytywnych wyników. A trudno je byłoby przeoczyć. Najgrubsza miała obwód 5,45 m, a cieńsza 3,20 m (dane z 1936 roku). Z danych archiwalnych wynika, że rosły one blisko siebie w odległości ok. 3 m. Między nimi umieszczona była ławka i chętnie pito tu wino – najprawdopodobniej zielonogórskie, albowiem te tereny były dawniej miejskimi winnicami. Boże, już czuję ten kojący zapach kwitnącej lipy.

Nasze lipy były zarejestrowane oficjalnie pod numerem 6 w „Księdze pomników przyrody powiatu zielonogórskiego” (*Naturdenkmalbuch des Kreises Grünberg*) prowadzonej przez zielonogórskiego starostę (*landrata*). Przed ostatnią wojną istniała pewna dowolność w ustanawianiu obiektów chronionych i dopiero Ustawa Rzeszy o ochronie przyrody (*RNG*) z 26 czerwca 1935 roku oraz rozporządzenie o ochronie przyrody (*Naturschutzverordnung*) z 18 marca 1936 roku porządkowały prawnie ten problem.

Lipa jest drzewem wyjątkowym w kulturze polskiej. Zwraca na to uwagę fragment w książce „Gospodarstwo” autorstwa Anzelma Gostomskiego z XVI wieku. Czytamy tam: „Niech ma szlachcic dwór swój [...] na zdrowym plaau [...], niech płynie pod dwór rzeka {...}, za nią

niech będzie ogród [...] i las lipowy przeciwko, także zaraz pasieczka”. I w rzeczy samej słynęła dawna Polska z produkcji miodu oraz miodów pitnych. Stare i wielkie lipy darzono szacunkiem już za czasów pogańskich. Znany był zwyczaj sadzenia lipki w dniu narodzin dziecka. Ale nie wolno było kopać dołka przed jego narodzinami, bo to źle wróżyło. Liczba wiekowych lip otaczających stary dwór świadczyła o wieloletniości, a tym samym o sile żywotnej i stateczności rodu. Wiele by można o sławnych lipach napisać – tych sadzonych przez królów czy też innych zasadzanych ku pamięci wielkich wydarzeń. Ale najbardziej znaną Polakowi jest lipa z Czarnolasu rozsławiona przez Jana Kochanowskiego:

*Gościu, siądź pod mym liściem a odpoczni sobie,
Nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie,
Choć się najwyższej wzbije...*

Co się stało z lipą czarnoleską? Niektórzy powiadają, że została zniszczona przez hitlerowców. Tak naprawdę to nie dożyła XVIII wieku. Przecież była już sędziwym drzewem w XVI wieku. Tomasz Święcki (1774-1837), pisarz i geograf, stwierdził, że na miejscu tej słynnej lipy rosną trzy wielkie topole.

Warto wspomnieć, że właśnie w XVI wieku w Polsce upowszechniła się moda na tzw. przechodniki, czyli altany lub cieniste szpalery, gdzie można było w upalne lato odpoczywać w cieniu. Właśnie lipa była bardzo często wykorzystywanym gatunkiem do tworzenia takich enklaw. Czy dawne przedwojenne lipy także były zasadzone rozmyślnie na miejskich winnicach?

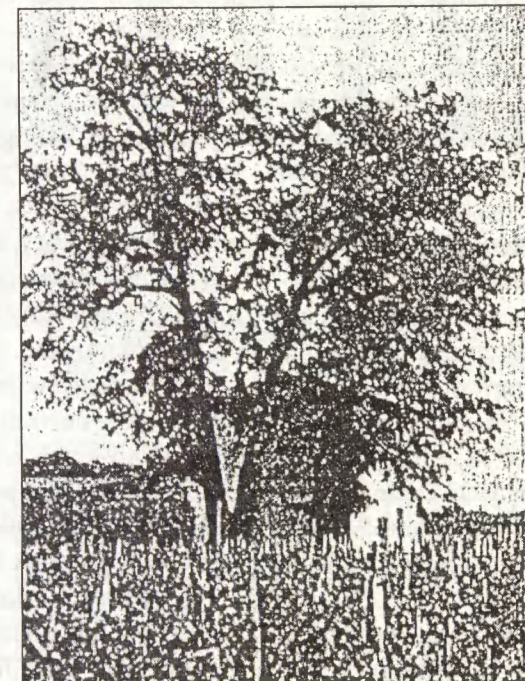
Byłbym niezmiernie wdzięczny pionierom, za pomoc w odтворzeniu historii dwóch lip - tych przedwojennych pomników przyrody. Czy zostały zniszczone przez siły przyrody czy też przez człowieka?

A jak z lipami jest teraz w Zielonej Górze. Mamy ustanowione dwie lipy jako pomniki przyrody. Pierwsza (pod nr 424 w miejskim rejestrze pomników przyrody) to lipa drobniolistna (*Tilia cordata*) o bardzo okazałym obwodzie 403 cm (wysokość 23 m). Znajdziemy ją w czasie spaceru za Stra-

żą Pożarną (przy ul. Kożuchowskiej) przy garażach wzdłuż torów kolejowych. Drugi pomnik (nr 519) to lipa długoogonkowa (*Tilia petiolaris*), która rośnie w parku Piastowskim. Łatwa do zlokalizowania, gdyż jest zrosnięta z 4 pni. Z innych ciekawych drzew tego gatunku mamy w mieście lipę amerykańską, odmianę wielkolistną (*Tilia americana*) - rośnie w parku Tysiąclecia oraz lipę Moltkego (*Tilia x moltkei*) - znajduje się przy posesji nr 25 przy ulicy Wrocławskiej. Nie są to olbrzymie okazy, a nam przyjdzie chyba popijać lampkę wina w ogródkach kawiarnianych, ale pod parasolami. Wygodne, ale gdzież ten romantyzm.

L. Jerzak

(Liga Ochrony Przyrody)



Opowiadanie o pogodzie

Opowiem Państwu, jaki był przebieg pogody w roku 1999 na podstawie danych Stacji Hydrologiczno-Meteorologicznej w Zielonej Górze.

TEMPERATURA POWIETRZA

Miniony rok był wyjątkowo ciepły. Średnia temperatura roku liczona z 8 terminów obserwacyjnych na dobę wyniosła 9,6° i była wyższa od średniej wieloletniej o 1,4°. Licząc od 1885 roku najwyższą temperaturę średnią roczną 10,0° miał rok 1934. Na następnych miejscach znalazły się: rok 1989 – temperatura średnia roczna 9,8°, rok 1990 z temperaturą 9,7°, 4 i 5 miejsce w tej tabeli zajmuje rok 1992 i miniony 1999 z temperaturą 9,6°. Warto zaznaczyć, że od roku 1988, czyli w ostatnich 12 latach tylko raz – w roku 1996 – mieliśmy temperaturę średnią roczną 6,8°, czyli wyraźnie poniżej normy. Wszystkie pozostałe lata były cieplejsze od normy.

W minionym roku tylko trzy miesiące miały temperatury średnie miesięczne nieco poniżej normy, były to: listopad – 0,7°, czerwiec – 0,4° i październik – 0,1°. Pozostałe 9 miesięcy było cieplejsze od normy wieloletniej dla tych miesięcy, obliczonej dla czterdziestolecia 1951-1990. Szczególnie należy tu wyróżnić wyjątkowo ciepły wrzesień, z temperaturą średnią miesięczną 17,4°, czyli wyższą od normy o 3,7°. Taką temperaturę ma u nas średnio sierpień. W historii obserwacji meteorologicznych ubiegłoroczny wrzesień znalazł się na drugim miejscu, po wrześniu 1947 r., kiedy temperatura średnia miesięczna wyniosła 18,1°. Na drugim miejscu pod względem największej odchyłki od normy był styczeń, którego średnia temperatura była wyższa od normy o 3,2°. Nie jest to co prawda sytuacja wyjątkowa, gdyż poczynając od roku 1988 aż 5 razy mieliśmy nawet wyższe temperatury średnie dla stycznia. Wyjątkowo wysoka jednak była temperatura maksymalna za dobę w styczniu. 6 stycznia zanotowano w Zielonej Górze temperaturę maksymalną 13,5°, co stawia ten miesiąc w historii obserwacji na 3 miejscu. Na 1 miejscu w tej tabeli znajduje się styczeń 1991 – temperatura maksymalna 14,6°, a na drugim miejscu niewiele mu ustępujący styczeń 1993 z temperaturą maksymalną 14,4°. Nie znaczy to, że w styczniu 1999 nie było dni mroźnych. 31 stycznia zanotowano najniższą temperaturę minimalną roku – 15°.

Marzec, kwiecień i lipiec miały temperatury średnie miesięczne wyższe od normy o nieco ponad 2°, a maj,

sierpień, grudzień wyższe w granicach od +1 do +1,6. W pobliżu normy, ale jednak nieco powyżej, miał temperaturę średnią miesięczną luty.

Warto zatrzymać się nad temperaturą średnią miesięczną lipca, która wyniosła 20,0°, czyli była o 2,2° wyższa od normy wieloletniej. W dekadzie lat 90. był to już piąty lipiec z temperaturą średnią miesięczną równą lub wyższą niż 20°. Najwyższą temperaturę maksymalną roku zanotowano 5 lipca i wyniosła ona 32,7°.

Wyjątkowo wcześniej w ubiegłym roku nastąpił pierwszy atak zimy – już 13 listopada. W ostatnim 50-leciu tylko dwa razy mieliśmy tak wczesny atak zimy, 13 listopada 1965 i drugi raz właśnie w roku ubiegłym (rysunek nr 1).

OPAD

Suma roczna opadu wyniosła 520 mm, tj. 89% normy wieloletniej, była więc nieznacznie poniżej normy. Ciekawie rozłożyły się opady w poszczególnych miesiącach. Poczynając od lutego do czerwca, a więc w okresie 5 miesięcy, wszystkie miesiące miały opady powyżej normy wieloletniej. Bardzo wilgotny był marzec – suma miesięczna opadu 59 mm, co stanowi 182% normy wieloletniej. Miesiąc ten zawdzięczał tak wysoką sumę miesięczną głównie pierwszej dekadzie, kiedy spadło 49 mm. W pozostałych dwóch dekadach spadło tylko 10 mm opadu.

7 miesięcy, tj. styczeń i od lipca do grudnia, miało opady poniżej normy. Największe odchylenie od normy miała suma miesięczna opadu w sierpniu, gdyż spadło wówczas tylko 16 mm opadu, co stanowi 23% normy wieloletniej. Według klasyfikacji klimatologów stawia to ocenę dla tego miesiąca – skrajnie suchy. O tym, jak wyjątkowo suchy był to miesiąc, niech świadczy fakt, że w całej historii obserwacji meteorologicznych tylko raz, w roku 1970, mieliśmy suchszy sierpień, zanotowano wówczas 8,8 mm opadu. Zbliżone pod względem opadu były jeszcze sierpień w latach 1973 i 1982. Nie było na naszym terenie deszczy szczególnie ulewnych, największą sumę dobową opadu zanotowano w dniu 4 lipca i wyniosła 24 mm. Daleko jej do rekordowej ulewy z 4 czerwca 1961 r., kiedy w Zielonej Górze spadło w ciągu doby 80 mm opadu (rysunek nr 2).

W minionym roku mieliśmy 51 dni z pokrywą śnieżną, średnio jest takich dni 56. Najwięcej dni z pokrywą śnieżną – 23 miał luty. Największą grubość pokrywy

śnieżnej zanotowano w dniu 18 lutego i wyniosła ona 28 cm.

ZACHMURZENIE

Zachmurzenie w roku 1999 było nieco większe, jak przewiduje norma, szczególnie pochmurny był luty, z kolei najmniejsze zachmurzenie średnie miesięczne miał wrzesień.

CIŚNIENIE ATMOSFERYCZNE

Średnie ciśnienie zredukowane do poziomu morza wyniosło 1014,8 hPa i było o 1,3 hPa niższe od normy wieloletniej. Minimalne ciśnienie zanotowano 26 grudnia i wyniosło ono 981 hPa. Maksymalne ciśnienie miał dzień 31 stycznia – 1041 hPa. Różnica równo 60 hPa. Największe skoki ciśnienia były w grudniu, kiedy w ciągu 4 dni, między 22 a 26, ciśnienie spadło o 58 hPa.

WIATR

Wiatr, jak zwykle, wiał przeważnie z zachodu 25,5% i południowego zachodu 17,9%. Najmniej wiało z kierunku północno-wschodniego 4,5% i północnego 7,5%. Średnia prędkość 3,1 m/sec. W minionym roku nie brako-

wało wiatrów porywistych. Maksymalną prędkość wiatru w porywach zanotowano w nocy z 3 na 4 grudnia i wyniosła ona 25 m/sec., tj. 90 km/godz.

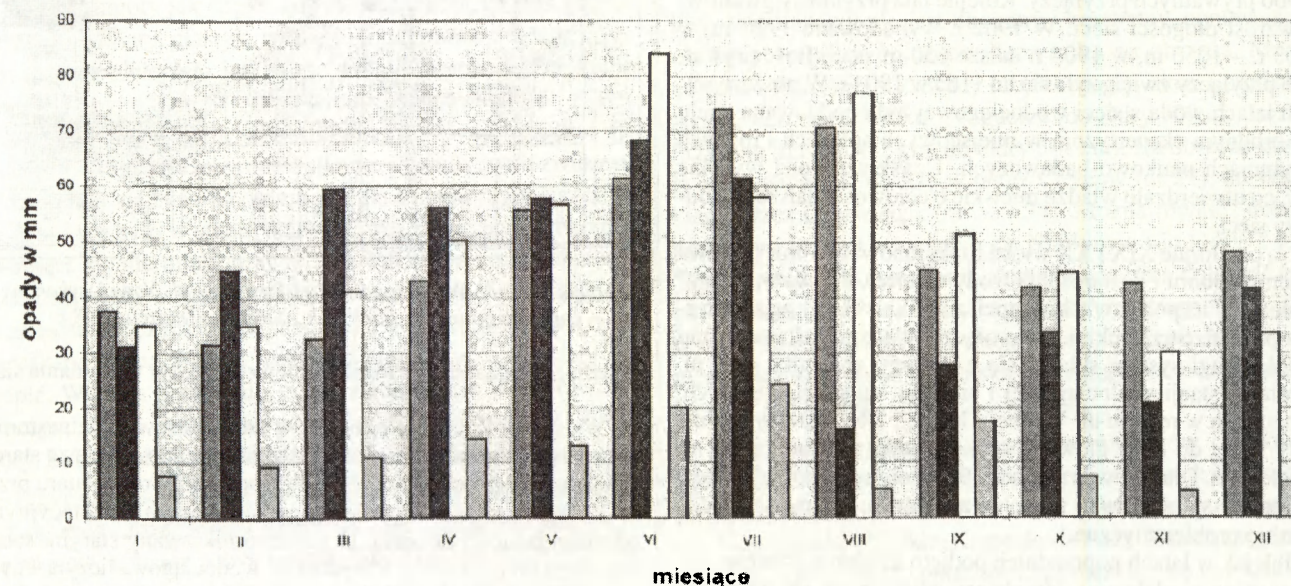
USŁONECZNIE

Suma roczna usłonecznienia wyniosła 1574 godziny i była o 60 godzin większa od normy wieloletniej. Większe od normy wieloletniej usłonecznienie miało 5 miesięcy, największy procentowy wzrost miał styczeń i wrzesień, dalej maj, listopad i grudzień. Czerwiec i luty miały usłonecznienie poniżej normy, a pozostałe 5 miesięcy miało usłonecznienie w pobliżu normy.

Reasumując, miniony rok był bardzo ciepły, nieco większe jak zwykle było zachmurzenie, ale mimo to większe od normy mieliśmy usłonecznienie. Opadu było nieco mniej i niższe od normy było ciśnienie. Dominującymi kierunkami wiatru był zachodni i południowo-zachodni. Czytelników, których zainteresowało moje opowiadanie o pogodzie odsyłam do numeru 1(8) 1999 naszego czasopisma, gdzie podałem klasyfikacje odchylek od normy wieloletniej dla temperatur i opadów.

Ryszard Krassowski

OPADY ATMOSFERYCZNE



od lewej: suma miesięczna 1951-1990, suma miesięczna 1999, maximum absolutne, minimum absolutne

TEMPERATURA POWIETRZA

STACJA METEOROLOGICZNA – ZIELONA GÓRA

Miesiąc Temperatura °C	I	II	III	IV	V	VI	VII	VIII	IX	X	XI	XII	Rok	Data
Średnia miesięczna 1951-1990	-1,7	-0,8	2,9	7,6	12,9	16,4	17,8	17,4	13,7	9,1	3,7	0,3	8,3	–
Średnia miesięczna 1999	1,5	-0,1	5,0	9,8	13,9	16,0	20,0	18,6	17,4	9,0	3,0	1,5	9,6	–
Minimum absolutne od roku 1885	-23,7	-30,2	-17,7	-8,2	-3,4	-0,7	6,3	3,5	-0,3	-7,8	-14,4	-24,8	-30,2	10 II 1929
Minimum 1999	-15,1	-10,9	-4,2	0,5	4,1	8,2	11,5	9,8	6,1	-1,5	-4,5	-8,6	-15,1	31 I
Maksimum absolutne od roku 1885	14,6	19,0	24,1	30,4	35,7	35,1	37,3	38,9	34,4	27,4	20,8	15,4	38,9	19 VIII 1892
Maksimum 1999	13,5	12,9	20,0	19,1	30,3	26,6	32,7	29,3	27,5	19,8	13,7	11,2	32,7	5 VII

WIEŻA CIŚNIEN I WODOCIĄGI

c.d.

Prace koncepcyjne i projektowe rozbudowy sieci i systemu jej zasilania zlecono inżynierowi Franciszkowi Saalbachowi z Drezna. Przygotowany przez niego projekt sprawdził od strony teoretycznej profesor Busing z Charlottenburga. Natomiast inżynier Andreas Meyer z Hamburga potwierdził zasadność projektu w sferze rozwiązań szczegółowych. Zakładano, że projektowana inwestycja pozwoli pokryć zapotrzebowanie roczne na wodę w wysokości 21500 m³. Latem 1896 r. przystąpiono do sprawdzania wydajności studni. Jednocześnie przy ulicy Kordiana wzniesiono nowy zbiornik o pojemności prawie trzykrotnie wyższej niż usytuowany poniżej przy ulicy Strzeleckiej. Woda ze wspomnianych siedmiu studni była doprowadzana poprzez stację ciśnienia do nowego rezerwuaru. Prace budowlane i instalacje zakończono 9 marca 1899 roku. Nowa inwestycja pochłonięła 128076 marek, co było olbrzymią kwotą w budżecie miasta. Pozwoliła ona na dalszy rozwój sieci. Jeszcze w latach 1896-1898 poprowadzono nowe rurociągi przy ulicy Kazimierza Wielkiego i dr. Pieniężnego. Po zakończeniu inwestycji położono wodociągi przy ulicy Dąbrowskiego, Świętojańskiej, Kopernika, przełożono rury przy ulicy Sikorskiego, a także przy placu Bohaterów. W 1900 roku pobudowano 521 m rurociągu przy ul. Sienkiewicza, 87 m przy ul. Krośnieńskiej, 71 m przy ul. Reja, 72 m w okolicach rzeźni miejskiej przy ul. Dąbrowskiego oraz prawie 170 m innych mniejszych przyłączy. W 1901 r. zielonogórska sieć wodociągowa liczyła 2723 m. Wodę doprowadzono do 900 prywatnych przyłączy. Kolejne lata przyniosły gwałtowny wzrost długości sieci. W 1902 r. wybudowano 1720 m, w 1903 r. – 1050 m, w 1904 r. dalsze 650 m sieci. Ilość prywatnych przyłączy zwiększyła się do 1165 w 1904 r. W poszczególnych latach woda z sieci wodociągowej była poddawana wielu różnorodnym ekspertyzom w miejscowych aptekach i różnych instytucjach naukowo-badawczych. Uzyskiwała ona wysokie noty, co utwierdzało władze miejskie o celowości dalszej rozbudowy sieci.

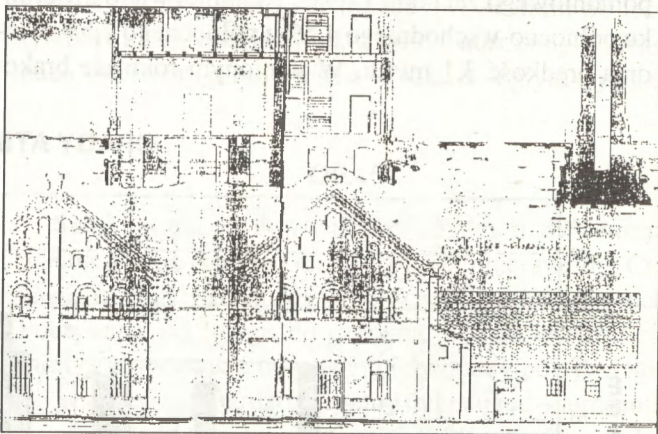
Na przełomie XIX i XX wieku funkcjonowały w mieście dwa systemy poboru i dostarczania wody do sieci. Pierwszy, „stary” wzniesiony na podstawie koncepcji z 1875 r. składał się ze zbiornika przy ul. Strzeleckiej. Był połączony z kompleksem ośmiu studni. Drugi system składał się z nowego zbiornika przy ul. Kordiana, stacji wodociągowej i siedmiu studni głębinowych, położonych w rejonie ul. Wodnej i Nowej. Oba systemy dostarczały wodę do nitki głównej, biorącej swój początek przy ul. Strzeleckiej. Długotrwała susza w 1904 r. oraz gwałtowny wzrost odbiorców spowodował, że pełne zaopatrzenie miasta w wodę stało się problematyczne.

Tak jak w latach poprzednich podjęto działania doraźne, polegające na pogłębieniu dotychczas istniejących studni, zwłaszcza tych przy ul. Strzeleckiej. Opady w następnych latach spowodowały podniesienie się poziomu wody w studniach, co spowodowało, że problemy z 1904 r. uznano za przejściowe. Pod naciskiem mieszkańców rozpoczęto dalszą rozbudowę sieci.

W 1905 r. przeprowadzono rurę o średnicy 80 mm i długości 471 m przy ul. Dworcowej, taką samą o długości 125 m przy placu Słowiańskim, 50 mm rurę o dł. 90 m przy ul. Morelowej i rurę dł. 105 m przy ul. Krośnieńskiej. W 1906 r. sieć wodociągową przedłużono jedynie o 80 m. W 1907 r. wybudowano dalsze 130 m wodociągu przy ul. Owocowej i 475 m przy ul. Ogrodowej. W 1909 r. zainstalowano jedynie 84 m sieci przy ul. Lisiej.

Dnia 7 kwietnia 1913 r. zostało wydane nowe prawo wodne, na mocy którego uregulowane zostały stosunki własnościowe zasobów wodnych oraz wprowadzono przepisy o ochronie ujęć wody. Latem 1914 r. władze miejskie zaakceptowały nowe za-

mierzenia dotyczące dalszej rozbudowy sieci. Okazało się bowiem, że wystąpiły trudności techniczne z utrzymaniem właściwego ciśnienia w tych odcinkach sieci, które prowadziły do osiedli położonych na większej wysokości. Planowano więc, aby całą sieć wodociągową podzielić na dwie strefy: niską i wysoką oraz założyć oddzielne doprowadzenia główne. Plan ten nie doczekał się realizacji, głównie z powodu braku niezbędnych funduszy i wybuchu I wojny światowej. Dopiero 21 października 1921 r. rada miejska zleciła opracowanie nowego projektu profesorowi Geisslerowi z Hanoweru. W lipcu następnego roku władze przejęły jedynie część projektu Geisslera. Ograniczał się on do: przebudowy nowej stacji pomp napędzanych silnikami elektrycznymi, przebudowy i elektryfikacji starego zakładu, połączenia rurą o średnicy 150 mm rezerwuaru przy ul. Kordiana z siecią miejską. Przebudowę i elektryfikację stacji pomp ukończono 15 marca 1923 r., połączenie zbiornika z siecią na ul. Sienkiewicza oddano do użytku dzień później, przebudowę starego zakładu ukończono w maju tego roku. Budowę realizowała zielonogórska spółka „Wasserversorgungs A.G.”, która przejęła zadania remontów sieci miejskiej realizowanych dotychczas przez Zakład Wodociągów Miejskich. Jednocześnie 1 kwietnia 1923 r. zmieniono dotychczasowy sposób zarządzania siecią wodną. Powołano Zakład Utrzymania Wodociągów i Gazowni Miejskiej, który podlegał bezpośrednio Zarządowi Miasta. Naprawy i prace konserwacyjne najczęściej zlecano wspomnianej spółce. Taki



Projekt Zakładu Wodociągów Miejskich przy ul. Nowej wykonany przez inżyniera F. Saalbach z Drezna w marcu 1898 r.

system zarządzania pozwolił zmniejszyć koszty utrzymania sieci.

W 1923 r. Zakład Wodociągów administrował piętnastoma studniami, dwoma zbiornikami i stacjami pomp. Woda ze starej stacji pomp przy ul. Nowej 25 była tłoczona do rezerwuaru przy ul. Kordiana, skąd następnie już pod ciśnieniem grawitacyjnym odprowadzono ją do sieci. Drugi zbiornik zwany starym, spełniał coraz mniejszą rolę. Miejska sieć wodociągowa liczyła wówczas 30500 m. Wodę poddawano analizom chemicznym i bakteriologicznym. Otrzymywała ona najwyższe noty. Dostawy wody nie pokrywały wzrastającego zapotrzebowania. W 1924 r. dostarczono do prywatnego i publicznego użytku 224,8 tys. metrów sześciennych wody, podczas gdy wydobywano 320,9 tys. Około 74 tys. metrów sześciennych tracono z powodu niewydolności i nieszczelności sieci, natomiast 220 tys. było przeznaczonych do tzw. specjalnego użytku. W 1923 r. w przeliczeniu na jednego mieszkańca wydobywano 11 metrów, w 1924 r. – 12 metrów, a w 1925 r. – 13 metrów sześciennych wody.

Latem 1925 r. rozbudowano część zakładu przy ul. Kordiana. Zmieniono przede wszystkim instalacje elektryczne stacji pomp. Każdą ze znajdujących się tam studni pogłębiono o 3 m. Jednocześnie zainstalowano nową pompę wirową o wydajności 80 m³/godz.

c.d.n.

Stanisław Prałat



Łęgi Nadodrzańskie (c.d.)

Na omawianym terenie były trzy gospodarstwa prowadzone przez wojsko, w Piaśnicy, Wyszynie, Stożnym i PGR (cywilny) w Dobrzęcinie. Nie kosi się, nie wypasa, jak również nie stosuje się żadnych zabiegów i nawożenia. W tym stanie rzeczy łęgi systematycznie przekształcają się w zbiorowiska leśne.

Omawiany teren (i całej doliny Odry oraz innych rzek na południu i zachodzie Polski) dotknęła katastrofa powodzi.

19 lipca 1997 r. o godz. 0,15 wody Odry przerwały wały przy moście kolejowym w Pomorsku i wdarły się z wielką siłą na łęgi wyrządzając ogromne szkody. Zalane i zniszczone zostały osiedla w Dobrzęcinie, Piaśnicy i Wyszynie. Uległo wróceniu wiele pomnikowych drzew, woda naniósła na łęgi różne przedmioty jak części budynków, mebli, sprzętu gospodarczego, szmaty, plastik, wyrwane i połamane drzewa, krzewy, martwe zwierzęta itp. Woda ustąpiła dopiero w połowie sierpnia. Zbyt długie zaleganie wody doprowadziło do zgniecenia i uschnięcia wielu drzew, krzewów i innej mniejszej roślinności. Tragicznie powódź dotknęła również świat zwierząt. Wdzierający się żywioł i długie zaleganie zniszczyły wszystko co żyło i nie było w stanie uciec. Nawet zwierzęta szybko poruszające się nie miały prawie żadnych szans uratowania się. Woda spływała w kierunku Nietkowa i Lasek. Uciekające na Wzniesienia Łężyckie i Wysoczyznę Czerwieńską zwierzęta napotkały Zimną Wodę i jeżeli nie przepłynęły - musiały się utopić. Wypada nadmienić, że wdzierająca się woda (już zanieczyszczona) została wymieszana ze ściekami z Zielonej Góry, które Złoty Potok doprowadził do Zimnej Wody.

Przyroda ma to do siebie, że dość szybko się regeneruje. Już jesienią „księżycowy krajobraz” po ustąpieniu wody zazielenił się, odrosły trawy i część kwiatów łąkowych. Trzeba mieć także nadzieję powrotu na łęgi świata zwierzęcego. Na tym terenie obecnie poza Stożnem (kilka domów) nikt nie mieszka. Na obrzeżach znajdują się nieduże wsie (poza Cigacicami i Czerwieńskiem), niektóre mają charakter przysiółków. Nie ma tu zabytków o większej wartości architektonicznej i historycznej. Będąc jednak na tym terenie warto obejrzeć niżej wymienione.

❶ Kościół z XVIII w. i pałac z XIX w. w Przytoku. Kościół do 1945 r. był zbrojem protestanckim. Klasycystyczna budowla murowana z dwoma piętrowymi przedsionkami. Pałac murowany, piętrowy w stylu neorenesansowym, przylegający do parku krajobrazowego z licznymi pomnikowymi drzewami.

❷ Papiernia i dwór w Krępie. Papiernia w Krępie znana była już w XVI w. Obecny budynek pochodzi z 1845 r., murowany, piętrowy, nakryty dachem dwuspadowym. Wieś powstała

w XIII w. była własnością książęcą, później w 1596 r. kupiło ją miasto Zielona Góra. Dwór z XVIII w. wielokrotnie przebudowywany, zatracił swój pierwotny charakter.

❸ Ratusz z XIX w. i kościół także z XIX w. w Czerwieńsku. Ratusz murowany, piętrowy, założony na planie wydłużonego prostokąta z małym dziedzińcem wewnątrz. Ciekawa ze względu na wystrój jest frontowa fasada. Kościół zbudowany na miejscu starego w stylu neogotyckim, murowany, jednonawowy z wieżą. Na uwagę zasługuje zabudowa mieszkalna w rynku z pierwszej połowy XIX w.

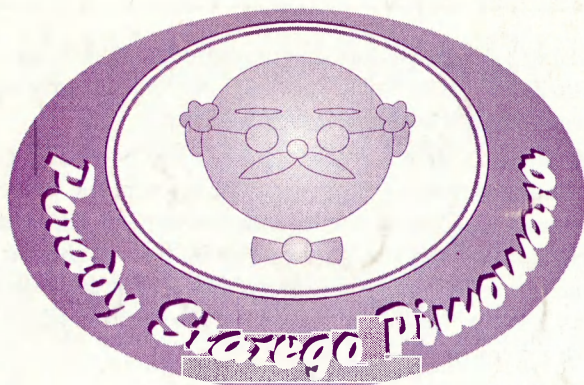
❹ Pozostałości umocnień fortyfikacyjnych wzdłuż Odry wybudowanych przez Niemców, zwane Umocnioną Linią Odry. W czasie planowania budowy fortyfikacji na wschodniej granicy Niemcy przewidywali umocnienie rzeki Odry. W latach trzydziestych naszego wieku podjęto budowę fortyfikacji Wału Pomorskiego i Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. Budowę fortyfikacji wzdłuż rzeki Odry rozpoczęto dopiero, gdy wojska radzieckie zbliżyły się do granic Niemiec. Co kilkaset metrów wybudowano pojedyncze bunkry, które miały ogniem działek i karabinów maszynowych przeszkodzić forsowaniu rzeki. Przystosowano do obrony także sąsiadujące miejscowości jako punkty oporu. Pozostałe bunkry są w różnym stanie technicznym (do niektórych można wejść, m.in. koło mostu do Nietkowiec). Umocnienia nie zostały przez Niemców wykorzystane, ponieważ na tym odcinku nie było działań wojennych.

❺ Szyb naftowy czynny na łęgach koło Krępy Małej.

Dojazd z Zielonej Góry na teren łęgów publicznymi środkami komunikacji nie jest dogodny i korzystny, ponieważ nie ma bezpośrednich dojazdów, lecz tylko na obrzeża. Można dojechać PKS-em do Zawady lub Stożnego - skrz. (graniczą z łęgami - do Odry 3-4 km), Cigacice (do Odry 500 m), Jan lub Przytoku (na łęgi 1-2 km, do Odry 3-4 km). Na obrzeża kursują autobusy MKK do Krępy przez Chynów (nr 22), do Wysokiego przez Czerwieńsk (nr 32 i 34). Można również dotrzeć pociągami przez Czerwieńsk do Nietkowiec (do Odry 2 km). Samochodami, motocyklami i rowerami można dojechać bezpośrednio na łęgi i do Odry utwardzonymi drogami (asfaltowymi z Krępy na łęgi - do Odry 1 km), do przepraw promowych z Wysokiego do Pomorska (za rzeką) i z Czerwieńska do Brodów (za rzeką).

Nie ma również na omawianym terenie łęgów, oznakowanych szlaków turystycznych. Jest tylko jeden szlak koloru żółtego prowadzący obrzeżem z Krosna Odrzańskiego przez Łaski, Czerwieńsk, Wysokie, Krępę do Zawady. Planując wędrowkę trzeba uwzględnić konieczność poruszania się bez szlaków turystycznych. Najciekawszą i łatwą do ustalenia kierunku marszu jest wycieczka po wale (lub obok) wzdłuż rzeki. Przejście wałem z Cigacic do Nietkowiec lub odwrotnie wymaga pokonania około 20 km. Można przejść krótsze odcinki wałem i z powrotem, drogą do jednej z miejscowości na obrzeżach, na przykład do Jan, Przytoku, Krępy, Wysokiego, Czerwieńska, Nietkowiec (10-12 km). Wybierając się na łęgi trzeba zabrać ze sobą posiłek. Na łęgach nie ma wsi i sklepów. Są tylko na obrzeżach sklepy spożywcze, a w Czerwieńsku gastronomia. Nie zawsze godziny otwarcia odpowiadają turystom. Łęgi nadodrzańskie są terenem unikatowym i niepowtarzalnym. Zetknięcie się z nimi pozostawia niezapomniane wrażenia.

Jerzy Łatwiński



Pieczona ryba

- 5 płatów rybnych • sól • pieprz
- sok lub kwas cytrynowy • 3 łyżki tartej bułki
- 3 łyżki oleju • 3 dkg masła • 5 plasterków cytryny
- natka pietruszki

Mrożone płaty ryb morskich oprószyć solą, pieprzem z obu stron, skropić sokiem lub kwasem cytrynowym. Z jednej strony oprószyć płaty tartą bułką i ułożyć na blasze natłuszczonej olejem. Wstawić do pieczenia do nagrzanego piekarnika lub prodiża. Po 15 minutach pieczenia także powierzchnię płatów oprószyć tartą bułką, rozłożyć na nich kawałeczki masła lub masła roślinnego, piec. Ogólny czas pieczenia zależy od grubości płatów i zabiera 25-30 minut. Ułożyć upieczoną rybę na wygrzonym półmisku, skropić tłuszczem, udekorować plasterkami cytryny i po-

sypać natką pietruszki. Kiedy ryba będzie dobra, powinna trzy razy pływać: w wodzie, w masle i w winie.

Zupa piwna po francusku

- 3 cebule zwykłe, 3 szalotki • 1,5 l bulionu z kurczaka
- 0,33 l jasnego piwa • 250 miększu chleba lub bułki
- 50 g masła • gałka muszkatołowa • grzanki
- sól • pieprz

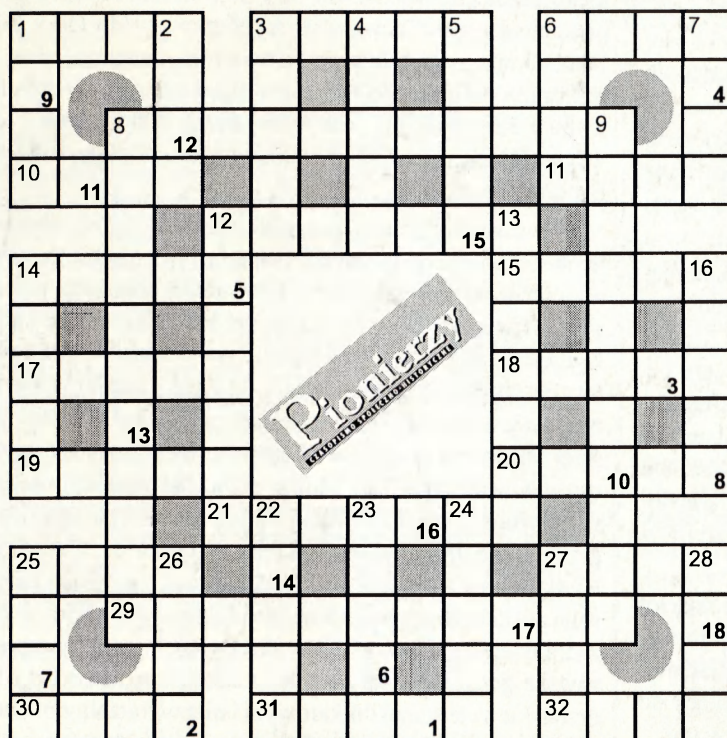
Drobno posiekane cebule zrumienić na tłuszczu, dodać bulion, połączyć z piwem i miększem chleba, posolić i dodać pieprz. Gotować 30-40 minut na bardzo małym ogniu. Zmiksować. Można doprawić śmietaną i gałką muszkatołową. Podawać z mocno zrumienionymi grzankami.

Ćulasz na piwie

- 800 g wołowej przęgi • 100 g smalcu • 200 g cebuli
- ząbek czosnku • 150 g świeżej papryki
- 150 g pomidorów • 1 kg ziemniaków
- papryka w proszku • sól • 3 szklanki piwa

Drobno pokrojoną cebulę usmażyć nie rumieniąc, dodać paprykę w proszku, czosnek (ew. kminek), połączyć niewielką ilością wody. Doprowadzić do wrzenia, po czym włożyć pokrojoną w kostkę wołowinę, posolić i dusić pod przykryciem na małym ogniu uzupełniając od czasu do czasu wyparowaną wodę. Gdy mięso zmięknie, włożyć pokrojone pomidory i paprykę, potem ziemniaki. Dodać piwo i gotować mięso oraz ziemniaki do miękkości.

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM



Poziomo:

1. telewizyjna pszczołka, 3. sceniczny dramat muzyczny, 6. spalamy w nim opał, 8. beton z metalowymi prętami, 10. owijacz na szyję, 11. krem leczniczy, 12. gra w karty lub szkło kryształowe, 14. napój alkoholowy, 15. poronienie, 17. stadium rozwoju owadów, 18. ciało płynne, 19. słynny maratończyk etiopski, 20. pierwiastek chemiczny o l. atom. 33, 21. samochodowy sygnał dźwiękowy, 25. trzech śpiewaków, 27. jabłko, gruszki i śliwki, 29. położnictwo, 30. kolor w kartach jak rodzaj dekolty, 31. ostre bóle przez skurcze mięśniówki jelit, 32. na ogrodzenie może być kolczasty.

Pionowo:

1. bóg wojny lub planeta, 2. odezwa do narodu, 3. lęk, niepokój, 4. długi okres czasu, 5. awantura, nieczysta sprawa, 6. płaskodenny statek, zastępuje most, 7. ochota na jedzenie, 8. policja wojskowa, 9. msza w kościele, 12. potulna owieczka, 13. mebel do spania, 14. bój, bitwa, 16. dwanaście jajek, 22. przebiegły chytrusek leśny, 23. siedziba władz Rosji, 24. drzewo z rodziny brzoźowatych, 25. samiec owcy domowej, 26. szyba z ramą, 27. mucha lub komar, 28. rewolwer bębenny.

STANGAR

Litery z ponumerowanych pól w dolnych narożnikach od 1 do 18 tworzą rozwiązanie, które prosimy przestać na adres redakcji do dnia 31.03.2000 r. Za rozwiązanie hasła trzy osoby otrzymają cenne książki.